

- ◆ Zbigniew Boniek i inni - str. 12
- ◆ Krótka historia jednego dramatu - str. 6
- ◆ Najpiękniejsza ulica świata - str. 7
- ◆ Powieść o czasach stalinowskich - str. 10
- ◆ Hiszpanki podnoszą głowę - str. 13

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 28 (1528) ROK XXX 11 LIPCA 1987 ROKU CENA 25 ZŁ



Foto: Grzegorz Galasiński

Uwaga!

Konkurs na całe lato dla tych, którzy wyjeżdżają z Łodzi i lipcowy konkurs dla tych, którzy w Łodzi pozostają

Już w poprzednim numerze „Odgłosów” ogłosiliśmy konkurs na całe lato dla tych, którzy wakacje będą spędzali poza Łodzią. Warunki tego konkursu są proste:

- nie mogą to być zdjęcia z Łodzi,
- mogą to być zdjęcia tylko czarno-białe,
- nie może być ich więcej niż 10,
- powinny to być zdjęcia układające się w fotoreportaż o ciekawej architekturze, ludziach, sytuacjach, zdarzeniach: wszystko to, co Was ciekawi i może zaciekać innych.

- zdjęcia należy nadsyłać **WRAZ Z KUPONEM WYCIĘTYM z „Odgłosów”** do 30 września 1987 roku pod adresem redakcji.

DLA TYCH, KTÓRZY POZOSTAJĄ W LIPCU W ŁODZI ogłaszamy inny konkurs - **LIPCOWY**. Obowiązują również zdjęcia czarno-białe, nie może być ich więcej niż 6. Powinny tematycznie dotyczyć tylko Łodzi. **NALEŻY JE WRAZ Z KUPONEM WYCIĘTYM z „Odgłosów”** nadsyłać pod adresem redakcji do 31 lipca 1987 roku.

Najciekawsze zdjęcia ukażą się na łamach „Odgłosów”, mogą być w późniejszym czasie wykorzystane do ilustracji artykułów czy reportaży, a ich autorzy zostaną nagrodzeni cennymi książkami.

KUPON KONKURSU NA CAŁE LATO

Imię i nazwisko
Dokładny adres
Zgłaszam do KONKURSU NA CAŁE LATO zestaw
zdjęć

KUPON KONKURSU LIPCOWEGO

Imię i nazwisko
Dokładny adres
Zgłaszam do KONKURSU LIPCOWEGO zestaw
zdjęć

UWAGA!

Zdjęcia **WRAZ z KUPONAMI** należy nadsyłać pod adresem: „ODGŁOSY” ul. Henryka Sienkiewicza 3/5, XIII piętro 90-113 Łódź

PRZYPOMINAMY!

Zdjęcia bez kuponu nie będą brane pod uwagę!

Umrzeć musi każdy, ale chodzi o to, aby umrzeć z godnością.

Najpiękniejsza ulica świata

ANDRZEJ MAKOWIECKI

1.

Ten dom stoi przy Piotrkowskiej, a Piotrkowska, jak powiedział pewien warszawianin, jest najpiękniejszą ulicą świata. Fronton tego domu wdziera się do przechodnia brama, której strzegą maskarony o lwich łbach i kobiecych piersiach. Fronton jest odnowiony, w bramie zobaczysz mury o złuszczonych tynkach. Zobaczą również tablicę zaświadczenia, iż rezyduje tu instytucja odpowiedzialna za rozwój budownictwa w mieście.

Dalej są trzy podwórka. To ostatnie, graniczące z włością szkoły podstawowej, należy do znanej spółdzielni pracy, obok, której pleje w niebo żelazny, przeżarty rdzą komin z czasów Ziemi Obiecanej. Na środkowym podwórku uchowała się jeszcze fabrykancka stajnia z rampą, słychać jeszcze klątwy furmanów i rżenie koni.

Pierwsze podwórko ma charakter handlowo-usługowy. Na parterach znajdziesz między innymi pracownię obuwia, ambulatorium lekarskie i coś tam jeszcze, a na piętrach mieszkają lokatorzy.

Jest kilka klatek schodowych. Reka szulera czy też inny szatański zamysł pomieszczał numery na tych klatkach tak, jak pomieszczone są numery w przedziałach kolejowych. Na pierwszym piętrze pierwszej klatki widnieje numer 14, a na drugim numer 27. Znowu w drugiej klatce na pierwszym piętrze jest numer 13. Wszystko aby tylko nie trafić. Ale trafisz. Jeśli nie boisz się śmierci, naciśnij dzwonek.

2.

Ta kobieta ma nowotwór płuć. Zadzwoniła do „Odgłosów” w czasie dyżuru reporterów. Reporter, który już dawno przestał być reporterem,

wysłuchał jej wstrząsającej spowiedzi. - Niech pan tylko nie ujawnia mojego nazwiska, bo mnie zagryzą.

- Kto?

- Ci od pomocy. Oni pomagają tylko tym, z których mogą wyciągnąć pieniądze. Gdyby nie dobrzy ludzie, gdyby nie moja Punia...

Reporter zapytał, czy mieszka samotnie.

- Tak. Przyjdzie pan?

- Przyjdę.

No i w parę dni później, zwiędziwszy najpierw trzy podwórka i dwie klatki schodowe, reporter, który już dawno przestał być reporterem, bowiem zaczęły nużyć go fakty, przestąpił próg lokalu pod numerem 13 i znalazł się w obszernym, mrocznym, choć nie pozbawionym uroków mieszkaniu, w którego kątach drzemały duchy przeszłości, a niektóre, zniszczone skądinąd meble, odznaczały się elegancją.

Kobieta leżała w łóżku. Wystarczyło jedno spojrzenie, aby zrozumieć, że jeśli mamy do czynienia z nieszczęściem, nie jest to nieszczęście niedzy, lecz nieszczęście opuszczenia. Skłamała wszelako twierdząc, iż mieszka samotnie - obok łóżka spoczywał duży, czarny pies.

Wpadła również tego dnia Punia, energiczna niewiasta słusznego wieku, emerytka, ale dorabiała na pół etatu. Pracowała cała noc w jakimś zakładzie, rano musiała zaopiekować się ciężko chorą siostrą, a jak tylko skończyła oporządzać siostrę, przybiegła do stoczonyj nowotworem kobiety, z którą łączy ją trzydziestoletnia zażyłość.

Punia wylegitymowała reportera i poszła krzątać się w kuchni, a ta kobieta szlochala. Dopiero po chwili zdumiony reporter odkrył, że jest to szloch wdzięczności. Otóż nazajutrz po telefonie do „Odgłosów” odwiedził ją wreszcie ktoś kompetentny i życzliwy - siostra z PCK. Była już kilka razy, zrobiła jej kilka

Ogłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44,

sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Andrzej
Karolczak, Roman Kubiak,
Jerzy Kwieciński, Bogda
Majej, Andrzej Makowiecki,
Paweł Tomaszewski,
Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz
Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz
Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:

Tadeusz Błażewski,
Bohdan Gadomski, Jacek
Głębski, Witold
Kasperkiewicz, Andrzej
Kempa, Marek Koprowski,
Włodzimierz Krzemieński,
Marek Mamos, Zenon
J. Michalski, Ryszard
Nakonieczny, Adam
Ochocki, Jerzy Panaszewicz,
Karol J. Stryński, Maciej
Świerkocki, Witold Werner.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo
Prasowe RSW „Prasa —
Książka — Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne
RSW „Prasa — Książka
— Ruch” Łódź, ul. Armii Czer-
wonej 28

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rękopisów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla
instytucji i zakładów pracy —
zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa —
Książka — Ruch” zamawiaja
prenumeratę w tych oddziałach
— instytucje i zakłady pracy
zlokalizowane w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa — Książka — Ruch” o-
płacają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli. 2.
Dla indywidualnych prenumera-
torów — osoby fizyczne zamieszkałe
na wsi i w miejscowościach
gdzie nie ma oddziałów RSW
„Prasa — Książka — Ruch” o-
płacają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli. Osoby
fizyczne zamieszkałe w miastach —
siedzibach Oddziałów RSW „Prasa —
Książka — Ruch” opłacają prenume-
ratę wyłącznie w urzędach pocztowych
nadawczo-oddawczych
właściwych dla miejsca zamieszka-
nia prenumeratora. Wpłaty dokonuje
się używając blankietu
„wpłaty” na rachunek bankowy
miejscowego Oddziału RSW
„Prasa — Książka — Ruch” 3.
Prenumeratę ze zleceniem wysyłki
za granicę przyjmuje RSW
„Prasa — Książka — Ruch”
Centra Kolportażu Prasy i
Wydawnictw ul. Towarowa 28
00-958 Warszawa konto NBP XV
Oddział w Warszawie nr 1153-
201045-139-11 Prenumerata ze
zleceniem wysyłki za granicę
początku zwykła jest droższa od
prenumeraty krajowej o 50 proc.
dla zlecających indywidualnych
i o 100 proc. dla zlecających
Instytucji i zakładów pracy.
Terminy przyjmowania prenume-
raty na kraj i za granicę —
do dnia 10 listopada na I
kwartał i półrocze roku następnego
oraz cały rok następny —
do dnia 1 każdego miesiąca —
poprzedzającego okres prenume-
raty roku bieżącego.

Zam. 2044. H-10

Przegląd prasy

Biskupi polscy postanowili
wspierać reformy skarbowe
premiera Władysława Grab-
skiego. Wystosowali w 1924 ro-
ku list pasterski wzywający
wiernych do jednodniowego
postu i modłów w intencji na-
prawy pieniądza. W związku z
tym w jednej z łódzkich gazet
ukazał się zjadliwy felieton.
Pewien dziennikarz odważył się
napisać, że zamiast modlitwy
należało ofiarować państwu
część własnych skarbów i dóbr
kościelnych.

Oburzeni biskupi skierowali
sprawę do sądu. Zapadł wyrok
skazujący i dziennikarz musiał
spędzić w więzieniu cztery mie-
siące. Nikt bowiem nie chciał
go bronić. Adwokat łódzcy
(przeważnie pochodzenia żydo-
wskiego) obawiali się konse-
kwencji. Najprawdopodobniej
kregi kościelne ogłosiłyby, że
jest to kolejny spisak żydo-
wsko-masoński wymierzony
przeciwko katolicyzmowi.

Kim był ów śmiełek, który
zaczepił Kościół? Był nim Ta-
deusz Wieniawa-Długoszewski,
brat słynnego generała, Bolesła-
wa, adiutanta Józefa Piłsudskiego,
późniejszego ambasadora
Polski w Rzymie. Był to nie-
przejednany

WOLNOMYSLICIEL I ANTYKLERYKAŁ.

Po wyjściu z więzienia opu-
bił 25 stycznia 1925 roku
artykuł pt. „Kler wojujący”.
Obszerne jego fragmenty cytuje
w tygodniku „ARGUMENTY”
(nr 27) Mirosława Dołęgowska-
Wysocka i przypomina barwne
osobowości obu braci. Tadeusz
Wieniawa-Długoszewski pisał
miedzy innymi:

„Byłoby kłamstwem twier-
dzić, że duchowieństwo w Pol-
sce nie ma zasług. Byłoby osz-
czerstwem utrzymywać, że
kler nie posiada ludzi zacnych
i mądrych, którzy wiedzą, co
znaczy «słowo Boże» i co zna-
czy odległość ołtarza od złobu,
czyli od steru władzy cywilnej.
Nie ulega wątpliwości, że kler
polski nie składa się z anio-
łów, ani jednocześnie z tych
zjadaczy chleba (z masłem
śmietankowym), których znowu
w aniołów trudno byłoby prze-
robić ze względów zasadnic-
zych. Są to ludzie, najczęściej
zwykli ludzie, którzy jednak
chcą mieć w Polsce niezwykłe
przywileje, m.in. prawo nie-
omyślności, prawo występowania
w imieniu Boga, prawo sądu i
sędziów i prawo potępienia
publicznego, przed którym drży
maluczki, średni Polak dzisiejszy,
jak iść na rzymskim wie-
trze”.

Następnie autor podał przy-
kłady politycznej działalności
Kościola w dziejach Polski. Nie
były to przykłady pozytywne.
Wracając do własnej sprawy
pisał dalej następująco:

„I jak tu wobec takich fak-
tów nie pragnąć ognia rewolu-
cyjnej duchowej, nie prosić kogo
nałęcz, aby piorun spuścił z
jasnego nieba, co by spalił owe
tysiące zabobonów, którymi
Polska po dziś dzień żyje? Jak
tu nie żądać oddzielenia
Kościola od państwa? Jak nie
domagać się, aby kler, skoro
jest, nie odchodził zbyt daleko
od właściwego ołtarza, aby słu-
żył Bogu — a nie bogom zem-
sty i nienawiści? Obowiązkiem
każdego myślącego obywatela
w Polsce musi być organizowa-
nie kulturalnej walki z czarną
międzynarodówką, z jej zach-
cianym dążeniem do panowa-
nia nad umartwianymi dusza-
mi, do władzy, która nie wspóln-
nego ze służbą Bożą nie ma”.

Mirosława Dołęgowska-Wyso-
cka przypomina też ciekawą o-
pinie historyka emigracyjnego,
Władysława Poboga-Malinno-
wskiego, o generale Bolesławie
Wieniawie-Długoszewskim. „Był
to człowiek o głębokiej inteli-
gencji, wielkiej kulturze i
prawdziwie rycerskim poczuciu
honoru, jego wartości wewnętrz-
ne jednak ginęły w cieniu
nieobliczalnych odruchów i szero-
kości, ale bardzo swoistej po-
pularności, jaką zdobył sobie
nieporównywalnym rozmachem
w kawaleryjskim trybie życia”.

Od historii trzeba jednak
przejsć do teraźniejszości. Na
łamach tygodnika „RZECZY-
WISTOŚĆ” (nr 27) Stanisław
Kwiatkowski przedstawia —
na podstawie badań socjologi-
cznych — obecny

STAN DUCHA POLAKÓW.

Jest to tekst wypowiedzi dy-
rektora Centrum Badania Opini
Społecznej na konferencji
zorganizowanej przez Instytut
Gospodarki Narodowej Komisji
Planowania Rady Ministrów.
Już na wstępie autor stwier-
dza:

„W lapidarnym ujęciu moja
diagnoza sytuacji jest taka: ak-
tywnie produkcyjna część spo-
łeczeństwa ocenia obecny stan
gospodarki coraz gorzej i z oba-
wami, sceptycznie patrzy w
najbliższą przyszłość. Opinie o
szansach na poprawę gospodar-
ki i warunków życia stają się
jeszcze bardziej pesymistyczne.
Jest coraz trudniej i lepiej nie
będzie — tak w skrócie można
ująć rokowania ludzi. Wiel-
kość chciałaby utrzymać przy-
najmniej dotychczasowy stan-
dard — niechby już było tak,
jak jest, byle nie gorzej”.

W świadomości naszych oby-
wateli państwo szybciej bied-
nieje niż społeczeństwo. Ludzie
gorzej oceniają stan gospodarki
narodowej niż własne gospodar-
stwa domowe. Jednocześnie
dystansują się od zbiorowego
działania i koncentrują wysiłki
wokół spraw prywatnych. Postę-
pują według zasady: ratuj się
kto może!

W latach 1984—1986 zmalał
w społeczeństwie polskim ud-
ział optymistów, którzy prze-
widywali poprawę położenia
materiałnego, z ponad jednej
czwartej do jednej dziesiątej.
Stopniowo zwiększa się poczucie
stagnacji. Prawie co druga
osoba sądzi, że będzie tak jak
jest — ani lepiej, ani gorzej.

Nisko ocenia swoją sytuację
i perspektywy nawet znaczna
część kadry kierowniczej. W
dodatku ludzie ci — niezależnie
od miejsca w hierarchii —
uwzględniają stanowiska kierowni-
cze za nieatrakcyjne i rzadko
mają ochotę awansować wyżej.
Ponad dwie trzecie deklaruje,
że nie ma zamiaru objąć stan-
owiska obecnego przełożonego.
W przekonaniu tych respon-
dentów koszt awansu przewyż-
sza korzyści z niego płynące.

Niewiara w zmiany na lepsze
jest tak powszechna, że domi-
nuje również w sektorze pry-
watnym. Większość rzemieślni-
ków przewiduje stagnację bądź
pogorszenie efektów swej dzia-
łalności. Co czwarty z nich spo-
dziewa się, że będzie gorzej —
władze będą dążyć do likwidacji
sektora prywatnego.

Niepokojące jest to, że mało
ludzi w Polsce ma poczucie
swojego wpływu na to, co dzie-
je się w ich zakładzie pracy
(28 proc.), miejscu zamieszka-
nia (19 proc.) i kraju (5 proc.).
Aż 87 proc. badanych twierdzi,
że nie ma wpływu na losy kra-
ju oraz 85 proc. na losy zakła-
du. Przeważa więc pesymizm i
brak podmiotowości

Nie udało się pobudzić akty-
wności ogólnospołecznej na dro-
dze reformy gospodarczej. Kie-
rownicy i robotnicy, czyli bez-
pośrednio zainteresowani, na-
stawieni są sceptycznie. Naj-
prawdopodobnie dlatego, że za
mało robimy, a

ZA DUŻO MÓWIMY.

„Kiedy słyszysz słowo reforma
odbezpieczam pistolet, ale po-
tem postanawiam dać jej jesz-
cze jedną, naprawdę ostatnią
szansę. Wtedy inni pukają się
znacząco w czoło” — pisze w
ostatniej „POLITYCE” (nr 27)
Daniel Passent.

Zdaniem felietonisty, ludzi o-
garnia nieraz bezsilność wobec
gospodarki i uczucie braku su-
werenności na rynku. A dalej
stwierdza on:

„Jako czytelnik, autor, re-
daktor, niedoszły ekonomista i
wreszcie obywatel, mam wobec
naszej gospodarki i dyskusji o
niej stosunek mieszany. Mam
poważny nos tej gospodarki i
dyskusji o niej, ponieważ od-
noszę wrażenie, że doświadczy-
liśmy już wszystkiego, wszystko
zostało powiedziane, napisane,
przedyskutowane, głównie spra-
wy znane są już od kilkadziesiąt
lat i dalsze na ten temat
pisanie — czytanie — gadanie

ma już niewielki sens. Przy-
kład Gorbaczowa, który reali-
zuje to, co od dawna uchodziło
za konieczne, świadczy, że al-
bo jest wola polityczna reform,
albo jej nie ma”.

Pewien znany dziennikarz za-
graniczny powiedział Danielowi
Passentowi, że w Polsce zmiany
polityczne wyprzedziły znacznie
reformy gospodarcze. Wbrew
poglądom opozycji osiągnięcia
polityczne są bardziej widoczne
niż gospodarcze.

O roli opozycji w systemie
politycznym interesująco mówi
w tygodniku „ODRODZENIE”
(nr 27) prof. Mikołaj Kozakie-
wicz. Podkreśla on, że opozycja
istnieje od dawna niezależnie
od przyzwolenia władzy. Lecz
sam do opozycji się nie zalicza.
Jest najwyższą opozycjonistą
moralno-merytorycznym. Wys-
tępuje przeciw złu, krzywdzie i
głupocie.

Mikołaj Kozakiewicz uważa,
że zarówno dla społeczeństwa
jak i systemu politycznego wy-
nika sporo pożytków z opozycji.
Nawet jeżeli działalność jej o-
granicza się tylko do krytyki
istniejącej rzeczywistości i kon-
trolli działań organów wykona-
wczych. Ale tylko mądra wła-
dza lubi krytykę i ciągle pa-
trzenie na ręce.

Od czego zależy poparcie spo-
łeczne dla władzy? Profesor
sądzi, że przede wszystkim od
warunków materialnych.

„Jestem przekonany — mówi
— że gdyby większość obywa-
teli miała dobre zarobki i
mieszkania, realną szansę na
«malucha» i na wyjazd za
granicę (raz na 2—3 lata), a
codziennie na schaboszczyka,
to poparcie większości byłoby
pewne. Nie powiedziałem, że
wszyscy, ale większość. Dramat
władzy polega na tym, że tego
nie może zapewnić, zaś grun-
towane przemobilowanie w sferze
polityczno-ustrojowej żywo in-
teresuje około 20 proc. głów-
nie inteligencję. Tym niemniej
osłabienie opozycji politycznej i
przekonywanie do socjalizmu
musi odbywać się konsekwent-
nie na dwóch frontach: w sfer-
ze materialnej i politycznej”.

Nie ulega wątpliwości, że w
tej niezwykle trudnej sytuacji
ekonomicznej, w jakiej się
znajdujemy, potrzebne jest so-
lidarne działanie. A tymczasem

BRAK NAM ZGODNOŚCI.

Są jednak w Polsce przykła-
dy, że także księża potrafią
zgodnie współpracować z wła-
dzami. Tak dzieje się m.in. we
wsi Kamianna w województwie
nowosądeckim. Pozytywnym
bohaterem jest ksiądz Henryk
Ostach — prezes Polskiego
Związku Pszczelarskiego. Pisze
o nim w organie rządowym
„RZECZPOSPOLITA” (nr 148)
Edmund Szot.

Do wioski liczącej zaledwie
150 mieszkańców zjeżdżają lu-
dzie z całego świata. W ubie-
głym roku odwiedziło ją około
200 tysięcy osób. Sporo tu bo-
wiem zrobiono dzięki ofiarno-
ści księdza, zyczącej władz i
solidarności społecznej. Znako-
mity pszczelarz ks. Ostach mó-
wi:

„My, Polacy, jesteśmy spo-
łecznością niezgodną. Brak
nam widocznego właśnie u
pszczoł poświęcenia dla spra-
wy, dla wspólnoty, poświęcenia
bez rozdy. Takiego, jakie of-
ciec czy matka ma dla swojego
dziecka. Tutaj pszczoły są przy-
kładem absolutnym. Nie mamy
też wytrwałości. (...) Nie mam
wrogów, ale czasem odczuwam
już naszą typową polską za-
wzięć”.

Wiceprezes PZP, Wilhelm
Kocowicz, następująco cha-
rakteryzuje księdza Ostachę:
„Jest bardzo tolerancyjny —
wie, że jestem członkiem partii
i że swego światopoglądu nie
zmieni. I było już raz tak, że
mnie jako niewierzącemu stwo-
rzono w pewnych okoliczno-
ściach bardzo niezręczną situa-
cję. Wtedy za tych, którzy do
tego doprowadzili, właśnie
ksiądz Ostach mnie przeprosił.
Byłem z nim też parę razy za
granicą i muszę powiedzieć, że
wszędzie występuje jako pa-
triota. Boli go każde złe, cie-
szę każde dobre słowo o Pol-
sce”.

E. L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Gra w chowanego

W grze w chowanego dozwolone jest naprowadzanie głosem
na fałszywy trop, co przypominało mi się nieoczekiwanie w
odniesieniu do zupełnie innej sprawy. Bo w zasadzie jest wszy-
stko w porządku, jeśli jakiś związek zawodowy bierze w obronę
nawet doraźne interesy pracownicze lub godność ludzi pracy.
Tego zresztą wielu z nas oczekiwało i nadal oczekuje od no-
wych, odrodzonych związków, w niejednym zresztą przypadku
zaznajemy całkowitego zadośćuczynienia.

Zdumiało mnie jednak stanowisko zajęte ostatnio przez Zwią-
zek Nauczycielstwa Polskiego w głosnej już na całą Polskę spra-
wie „przecieków” egzaminacyjnych tematów z matematyki. Otóż
łódzki zarząd ZNP bierze w obronę dobre imię nau-
czycielstwa polskiego narażone rzekomo na szwank przez nie dość
przemysłane i nieodpowiedzialne publikacje dziennikarskie.
Dlaczego użył określenia „rzekomo”? Ponieważ znane mi
dziennikarskie teksty po prostu nie zawierały sformułowań uwia-
czających godności całego nauczycielstwa, i nie sądzę, żeby ogół
nauczycieli mógł się poczuć dotknięty faktem publicznego pię-
tnowania nadużyte popełnionych przez grupkę kolegów.

Ale co znamienne, moi, koleżdy dziennikarze bynajmniej nie
wypowiadali się krytycznie o nagannych postawach niektórych
nauczycieli, lecz kierowali dość jednoznacznie swoje podejrzenia
i zarzuty pod adresem lokalnych władz oświatowych, czego zdaje
się nie zauważać kierownictwo ZNP, a to przecież nie to samo,
bo chociaż w komisjach opracowujących teksty egzaminacyjne
zasiadają, rzecz jasna, pedagodzy, to jednak działają oni w tej
sytuacji jako etatowi pracownicy jednej z agend urzędu kura-
torskiego.

Dlaczegoż by zarzuty i podejrzenia pod ich adresem miał wziąć
do siebie ogół uczących nauczycieli, jak to pośrednio sugeruje
oświadczenie ZNP? Pomijam tu kwestię „winy” dziennikarzy,
ponieważ jest oczywiste, że nie polega ona na ujawnianiu przez
nich tego co się zdarzyło, lecz obciąża ona sprawców przewinie-
nia.

Jednym słowem, kierownictwo Związku pochodzi z wyboru
środowiska nauczycielskiego, zrzeszonego w ZNP, nie zaś z no-
minacji przez władzę administracyjną i już z tego tytułu interes
nauczycielstwa powinien być związkowy bliższy do interesu pra-
cowników urzędu, jeśli dobrze rozumiem założenia odnowy ru-
chu związkowego.

Nie zajmując się problematyką szkolno-oświatową nie wypo-
wiadam się tu merytorycznie w sprawie osławionego przecieku,
nie potrafiłbym też ustosunkować się do zasadności wypowied-
danych niekiedy opinii, wyrażających zdziwienie, że sprawa
„rypia się” dopiero teraz. W każdym razie jako związkowiec
oczekiwałbym od kierownictwa ZNP, że raczej wyrazi ono za-
niepokojenie sytuacją wśród urzędników oświaty, zamiast brać
w obronę nauczycielstwo, którego w tej sprawie nikt nie ata-
kował, a również jak najdalei od tego byli i są, moim zdaniem,
dziennikarze.

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów”

- Zdumiewające rzeczy działy się na tegorocznym festiwalu piosenki w Opolu. Nagrody otrzymali także ci, którzy w ogóle nie przyjechali. Przede wszystkim, jak w lidze piłkarskiej, liczą się tam pieniądze. Natomiast piosenki są jakby mniej ważne — do takiego wniosku doszła APOLONIA ZADZIORNA i napisała do nas obszerny list w formie artykułu.
- Wielką popularnością cieszy się film Zbigniewa Kuźmińskiego „Nad Niemnem”. Śladami bohaterów powieści Elizy Orzeszkowej wędrowała MONIKA WARNEŃSKA. Okazuje się, że naprawdę istnieją Bohatyrowice, Ejragoła; Pacunele, Kiej-dany... Żyją też ludzie noszący nazwiska znane z powieści...
- W londyńskim Klubie 606 MAREK BRZEZIŃSKI poznał czarną dziewczynę z Jamajki. Opowiedział mi o wyspie pełnej paradoksów. W turystycznym rajach zdarzają się takie cuda jak w filmach — horrorach.
- Pociąg wtoczył się na potężny węzeł kolejowy. Na budynkach stacyjnych widniały napisy „München”. rozwarło wrota. Przed wagonami stali szarozieloni żołnierze. Na furazerkach widniały trupie czaszki... — tak zaczyna się kolejny fragment wspomnień znanego aktora WŁODZIMIERZA SKOCZYŁASA.
- Druga część wstrząsającego reportażu ANDRZEJA MAKOWIECKIEGO o samotnej starości.
- Następne odcinki bardzo ciekawych wspomnień ADAMA OCHOCKIEGO z pobytu w ZSRR podczas II wojny światowej oraz rewelacyjnej powieści ANATOLIIA RYBAKOWA „Dzieci Arbatu”.

Czytelnik, gdy staje przed kioskiem „Ruchu”, aby kupić gazetę, bierze w swoje ręce produkt wielu ludzi: autorków tekstów i zdjęć, redakcji, drukarzy i kolporterów. Gazeta lub czasopismo powstaje w redakcji, trafia do drukarni, skąd za pośrednictwem różnych form transportu samochodowego lub PKP trafia do rozdzielni „Ruchu” i następnie do kiosków. Jeśli w którymś miesiącu tego łańcucha nastąpi zakłócenie, to Czytelnik kupi w kiosku „Ruchu” towar zły: że napisane artykuły nie zredagowane, że wydrukowane lub późno dostarczone do kiosków. Dobry towar jakim stała się teraz gazeta czy czasopismo, musi być wynikiem dobrej, solidnej, rzetelnej pracy wszystkich uczestników tego procesu.

poszukuje gazety, a ona leży i czeka na Czytelnika w innym miejscu. Bywa, że za azybami zamkniętego kiosku. Ale czy tak dzieje się tylko z „Trybuną Ludu”?

Ekonomiści rozróżniają dwa pojęcia: rynek producenta i rynek konsumenta. W tym wypadku może być mowa o rynku czytelnika. Stając przed kioskiem widzi on wiele różnych pism i może dokonać wyboru. Gazety i pisma stały się towarem. Czytelnik płaci za gazetę, nikt go do niczego nie zmusza, ale i nikt go do niczego nie zachęca. Gazety w kioskach leżą zwalone na kupę. Nie bardzo wiadomo, co w nich jest. Warunki wyboru są przez niektórych kioskowiczów znakomicie utrudnione. Odnosi się takie wrażenie, że im nie zależy na sprzedaży prasy. Ale z chwilą powstania rynku czytelniczego

dować stronę tytułową, aby przyciągnąć wzrok, idą na marne, nie znalazły odzewu u organizatorów sprzedaży gazet”.

Ano właśnie! Trudno zaprzeczyć, że „Trybuna Ludu” stała się atrakcyjną i ciekawą gazetą. Każdy coś tam znajdzie dla siebie. Ale musi się o tym dowiedzieć. Jeśli do tej pory nie był czytelnikiem „TL”, to skąd ma wiedzieć, jakie w tej gazecie zaszły zmiany? Kto ma go o tym poinformować? Chyba sprzedawca. I to nie tylko o zmianach w treści i formie „TL”, ale i w innych pismach.

Wniosek stąd prosty: dotychczasowe metody pracy „Ruchu” już nie spełniają swej roli. W „Trybunie Ludu” napisano jeszcze:

„Ruchowi” trzeba pomóc, ale przede wszystkim musi sam sobie pomóc w usprawnieniu upowszechniania prasy”.

Interes, jeśli o dobry druk i papier postara się drukarnia, a nie potrafi tego sprzedać kioskowicz, to cały wysiłek obu członów tego procesu zostanie znakomicie zmarnowany. Oczywiście to aż nadto. A jednak mimo tej oczywistości sytuacja jest więcej niż zła.

Przed wszystkim nie ma rzetelnej analizy rynku. W „Trybunie Ludu” napisano, że dane o zwrotach są tak utajnione, że oni do tej pory nie wiedzą, „ile naprawdę wynoszą zwroty (czyli, ile gazet nie sprzedano w ubiegłym roku), operuje się bowiem różnymi danymi...”. Dysponując siecią telexów, telefonów i komputerami można mieć szybką i rzetelną informację o sprzedaży poszczególnych tytułów w całym kraju. Można — i trzeba — mieć dane porównywalne z innymi tytułami, jeśli ma być jakakolwiek konkurencja, jeśli pismo chce i może walczyć o swój byt na rynku. W przeciwnym razie jest to tylko fikcja, pozorną konkurencją, pozorną grą ekonomiczną. Czas więc wyjść ze świata pozorów. Głosimy wreszcie i wobec, że jesteśmy zwolennikami reformy gospodarczej, a sami tkwimy w realiach z poprzedniej epoki. Nie wystarczy bowiem zreformować jednego ognia w łańcuchu, żeby cały łańcuch był zreformowany. Postęp musi się dokonywać we wszystkich ogniwach łańcucha jednocześnie, a tak przecież nie jest.

Gdy historycy zaczynają pisać prace naukowe...

Odległa młodość gazety

Przyszedł do mnie niegdyś młody podówczas pisarz cały w szczęściu z wiadomością, że oto jakiś student pisze o nim i o jego twórczości pracę magisterską. Ucieszyłem się razem z nim, bo nie jestem zawistny, ale dużo później przyszła inna refleksja: czy to jest powód do radości? Bo jakby na to nie patrzeć jest to dowód przemijania czasu. Pisze się na ogół takie prace o rzeczach przecież odległych. Potrzeba do tego odrobiny dystansu. A kto z nas lubi, gdy uświadamia się mu przemijanie czasu?

Przypomniałem sobie o tym wszystkim, gdy w numerze 2(118) z 1987 roku kwartalnika „Z POLA WALKI” znalazłem szkic Danuty Grzelewskiej pt. „Z dziejów „Głosu Robotniczego” — organu PPR w Łodzi (1945—1948)”. Niedawno wprawdzie obchodziliśmy w Łodzi, a było to w czerwcu 1985 roku, czterdziestolecie „GR”, ale jubileusze niejako wpisane są już na stałe w nasze życie społeczno-polityczne i wiadomo, że wszystko musi mieć kolejno 25, 30, 35, 40 lat. Ciągłe ktoś obchodzi jakiś jubileusz, satyrycy z tego kpią, administracja państwowa — i słusznie — próbuje zakazami zapobiegać tego typu uroczystościom, ale one są silniejsze od zakazów i po prostu są. Jak sobie wyobrazić naszą rzeczywistość bez jubileuszy? To jest tak naturalne, że zupełnie nie uświadamia nam przemijania czasu. Gdyby nagle zabrakło jubileuszy poczulibyśmy się nieswojo. Zupełnie jednak coś innego praca naukowa, szkic historyczny. W takim przypadku stajemy zdziwieni przed tym faktem: — O Boże! To już o tym piszą historycy!

PUPIK „Ruch” jest przedsiębiorstwem wielobranżowym, które sprzedaje, jak to się popularnie mówi,

MYDŁO I POWIDŁO

Z punktu widzenia zysków dla RSW „Prasa — Książka — Ruch” może to i dobre, ale z punktu widzenia sprzedaży prasy bardzo źle bo prasa stanowi drobna cząstka całości towarów, jakimi dysponują kioski. Może więc dokonać selekcji w ramach „Ruchu” i wyodrębnić kioski różnorodowe, z papierosami, mydłem, grzebiakami i zabawkami i nie sprzedawać w nich prasy, a stworzyć sieć kiosków wyłącznie sprzedających prasę i specjalnie do tego przygotowanych? W Łodzi jest taki kiosk na przykład na rogu alei Tadeusza Kościuszki i Adama Mickiewicza. Ale czy jedna jaskółka czyni wiosnę?

Mówimy o wielkiej roli prasy, ale nie potrafimy jej upowszechniać. „Trybuna Ludu” narzeka, że „prenumeratery otrzynują” przybyli po dwóch dniach, a cóż by powiedziano, gdyby dowiedzieli się, że w Łodzi na drugą ulicę „Odgłosy” docierają... po tygodniu. Komu się w takich warunkach opłaca prenumerata? I jak tu ludzi do prenumeraty zachęcać?

Sergiusz Klaczko, gdy był naczelnym redaktorem „Głosu Robotniczego”, marzył o tym — a nawet próbował to marzenie zrealizować — aby gazeta trafiała razem ze świętymi buleściami pod drzwi naszych mieszkań. Marzenie pozostało marzeniem, a dziś nie ma nawet chętnych do roznoszenia mięsa. Ludzie jeszcze nie rozumieli, że dorabianie do pensji nie jest hańbą i że stać się to normalne w warunkach, gdy rosną koszty utrzymania, pieniądź traci wartość, a możliwości zarabiania w jednym miejscu stają się coraz bardziej ograniczone. Wszyscy obserwatorzy zgodnie mówią, że ciagle żyjemy ponad stan i nie potrafimy pracować. Kioski stoją puste. A gdyby młodzi ludzie, którzy chcieliby sobie dorobić, zajęli się sprzedażą tylko gazet w godzinach rannych, kiedy ludzie spieszą do pracy i chcą kupować gazety. Czy to by się nie opłaciło nam wszystkim? Boję się, czy będą chętni, ale spróbować warto.

Pomyślow może być jeszcze wiele. Jeśli Czytelnicy napiszą w tej sprawie, chętnie wydrukujemy ich propozycje. Redakcja pracuje nad tym, aby Czytelnicy dostawali co tydzień atrakcyjną ofertę. Reszta zależy już będzie od sprzedawcy!

„Trybuna Ludu” krytykuje pracę „Ruchu”. Przeszaryły system pracy nie odpowiada potrzebom rynku prasowego. Nie ma ludzi chętnych do pracy w „Ruchu”. Co zrobić, aby było lepiej?

Trzecie ogniwo jednego łańcucha

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

tego łańcucha. Mogłoby się wydawać, że są to rzeczy oczywiste, proste i dla wszystkich zrozumiałe. A przecież tak nie jest. Oto 24 czerwca 1987 roku „Trybuna Ludu” opublikowała obszerną relację o tym, jak powstaje, wędruje i jest sprzedawany centralny organ PZPR. Całość otrzymała charakterystyczny tytuł: „Trybuna: jedzie w kraj, ale czy do Czytelnika” oraz drugi:

GAZETA W RĘKACH „RUCHU”

A oto kilka śródtytułów, które w zasadzie charakteryzują całość sprawozdania o tym, co się dzieje z gazetą po opuszczeniu drukarni: „Toruń — Bydgoszcz: Płate koło u wozu”, „Olsztyn: Po prostu nie decyduje”, „Kraków — Zakopane: Sprawne dostawy, gorzej ze sprzedażą”, „Katowice: Sposób jak nie sprzedać „Trybuny””, „Płock: Piątkowa gazeta w poniedziałek”. I charakterystyczne zdanie z komentarza: „Już sam kiosk nie jest przystosowany do sprzedaży gazet”.

Dziennikarze „Trybuny Ludu” dokonali ogromnej pracy, przesiedlił los swojej gazety od drukarni do Czytelnika i stwierdzili, że na tej drodze występują różnego rodzaju miedzy, że często Czytelnik daremnie

takie metody pracy należa już do przestarzałych, z poprzedniego etapu i dziś nie odnośzą skutku.

Przed kilkoma tygodniami kierownictwo RSW „Prasa — Książka — Ruch” opracowało radykalne zmiany w ofercie prasowej, które mają eliminować z rynku pisma niechodliwe, a w innych wypadkach podjąć działania zmierzające do pomniejszenia strat przynoszonych przez pisma wydawane przez lokalne wydawnictwa. Po wstępnych decyzjach nastąpiła szczegółowa, w każdym razie redakcyjna, których działalność — przede wszystkim ze względu na stale rosnące koszty papieru, druku, energii i transportu — przynosi deficyt poczuły się w obowiązku szukania sposobów na uatrakcyjnienie pisma.

Swego czasu jeden z pracowników „Ruchu” krytykowany za opieszałość w działaniu tej instytucji powiedział nie bez racji:

— Będziemy lepiej sprzedawali, jak i

PISMA BĘDĄ BARDZIEJ ATRAKCYJNE!

To bezwzględnie prawda, ale tu powołam się znów na komentarz „Trybuny Ludu”:

„Wysiłki redakcji, by tak bu-

„Trybuna Ludu” zadeklarowała gotowość udostępnienia lamów dla dyskusji o tym, jak lepiej sprzedawać gazetę. Myślę, że żadne pismo nie poskąpi miejsca na taką dyskusję, gdyż to nasza wspólna sprawa. Tych, którzy piszą i redagują, tych, którzy drukują i tych, którzy sprzedają oraz wszystkich Czytelników. Możemy dyskutować. Ale niech coś z tej dyskusji wyniknie.

Państwowe Przedsiębiorstwo Upowszechniania Prasy i Książki „Ruch”, należące do RSW „Prasa — Książka — Ruch”, to dziś ogromne monopolistyczne przedsiębiorstwo, nieruchomości wbrew swojej nazwie, borykające się z wielkimi trudnościami i kłopotami. Ciężki ono na groźną współczesną chorobę: — brak ludzi do pracy. Można zmienić konstrukcję kiosków — choć to bardzo kosztowne — można wysunąć bogaty i wielostronny program zmian, ale bez ludzi, którzy to z chęcią, zapałem i zrozumieniem wykonają, niczego się nie osiągnie. Rezultat mamy taki, jaki mamy: nieczytane kioski, wcześniej zamykane, niedbale złożone gdzieś za sprzedawcą gazetę, o których treści i charakterze sam sprzedawca nie bardzo wie, zniechęcenie, niemożność. A przecież jest to ważne ogniwo w łańcuchu bardziej atrakcyjniejszej prasy. Jeśli swój udział w tym robi redakcja, bo to jej nie tylko obowiązek, ale i

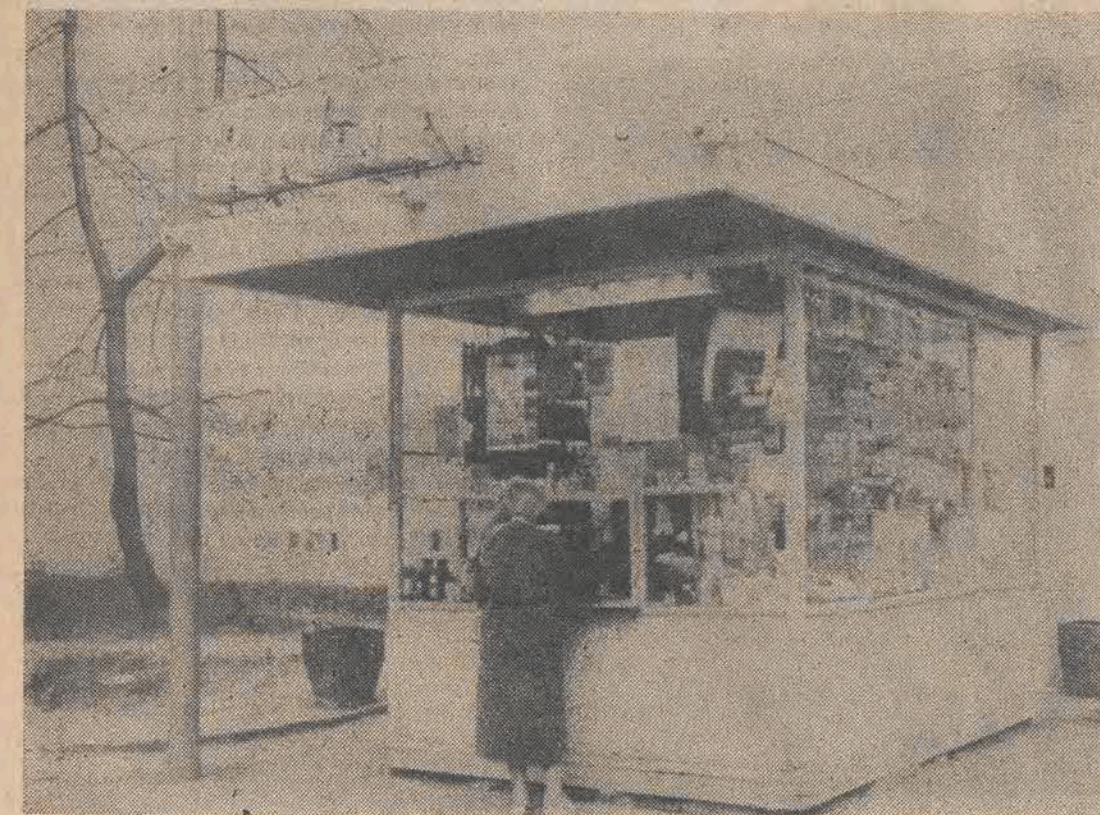


Foto: Witold Werner

Od kilku lat prowadzę „Notatnik sporadyczny”. Są to sporadyczne, okolicznościowe zapiski. Pomieszczałem w nim notatki z podróży, spostrzeżenia i refleksje ze spotkań z ludźmi, wrażenia z lektur itp. Oto fragment „Notatnika” z wiosny 1985 roku.

28.III.1985. — Przyjechałem do Radomia na XII Radomską Wiosną Literacką. Miasto zrobiło na mnie dobre wrażenie: jest przestronne, niehałaśliwe, schludne. Po zabudowie i jej stylach można prześledzić wszystkie etapy jego rozwoju.

Po południu spotkanie autorskie w internacie miejscowego technikum. Na sali same dziewczyny. Próbuje znaleźć z nimi wspólny język. Opowiadam im o tym, jak to wiele lat temu zahaczyłem o Radom w drodze powrotnej z Iłży, gdzie spędzałem wakacje u ciotki i gdzie poznałem pewną ich rówieśnicę, uczącą się właśnie w Radomiu. Przyjechałem tu wtedy, żeby się z nią zobaczyć, pamiętam dobrze stary park, w którym spędziłem sierpniowy wieczór.

Jedną ze słuchaczek, po cichej naradzie z koleżankami, zdobywa się na odwagę i pyta, czy ożeniłem się z tą dziewczyną.

— Nie wiem, co mam odpowiedzieć — mówię. — Czy skłamać i wam się przypodobać, czy wyznać prawdę...

— Prawdę, prawdę! — wołają chórem. — No więc przyznam się wam, że byłem tylko przelotnym młodzieńczo romans.

Słyszę, jak wzdychają zawiedzione. Różnie bywa z tą prawdą.

1.IV.1985. — W drodze do Buska przejeżdżam przez Końskie. W ciągu ostatnich paru dni podróżuję po raz drugi po Kielecczyźnie: przedwczoraj wracałem do Łodzi z Radomia.

fundatora lub fundatorki kościoła. Szkoda, myślę sobie, że nikt nie zabezpieczył tej tablicy ani jej nie odrestaurował.

Wracam do Buska drugą stroną szosy, wzdłuż rowu wypełnionego wodą z roztopów, wodą tak czystą, że na zanurzonych w niej zeszlizowanych liściach widać wyraźnie żyłki. Nad rowem widać wierzbowe: zrywam kilka palemek ze świadomością, że staję się oto niszczycielem przyrody. Czekają mnie samotne święta, z dala od rodziny, może zostanie mi wybaczone ten wandalizm.

9.IV.1985. — Pani Alina Lichańska, wdowa po Stefanie Lichańskim, poecie, tłumaczu i krytyku, z którym utrzymywałem przez szereg lat bliską korespondencję, przysłała mi w charakterze upominku świątecznego zbiór aforyzmów Fryderyka Hebbela, wydanych właśnie przez Państwowy Instytut Wydawniczy, a przełożonych przez jej męża. Czytam wstęp pióra zmarłego przed półtora rokiem pisarza i natrafiam na passus następujący:

„Hebbel buduje własną wizję świata, posępna i nasycona fatalizmem. U podstaw jej leży koncepcja, która przetrwała w jego monografii Hebbela... określił mianem pantrazizmu. Istotą owego pantrazizmu polega na tym, że idea, którą Hebbel pojmował na wzór Hegla, a więc jako synonim bytu, absolutu, ducha świata, wciela się we wszelkie możliwe zjawiska, które przez wzajemne ścieranie się i konflikty dążą do pierwotnej jedności, choć jednocześnie chciałyby zachować swoją odrębność. W samym więc procesie indywidualizacji leży pierwotny, uniwersalny tragizm wszelkiego istnienia”.

A więc tak wyklada się antynomia, odwieczny konflikt między potrzebą „indywidualnego samoziszczenia” a potrzebą zespolenia się ze

Ta twarz wzbudziła we mnie od razu zaufanie, do tego głos stonowany, jakby wyciszony.

Sprawa wyjaśniła się szybko: to nie ja, będzie mieszkali z kim innym. Ale wieczorem poszliśmy razem na spacer i tak zaczęła się nasza znajomość. Trzymaliśmy się ze sobą na wieczorku zapoznawczym, trochę wspólnego towarzysstwa i wspólnych wędrówek. Okazało się, że pochodził spod Tarnowa i jest tak zwanym chłopcem-robotnikiem. Miał jednak dużo wrażliwości i sporą dozę wrodzonej inteligencji. Ubawił mnie tylko jednym: kiedy powiedział mi w swojej prostoduszności, że w pierwszej chwili wziął mnie za księdza...

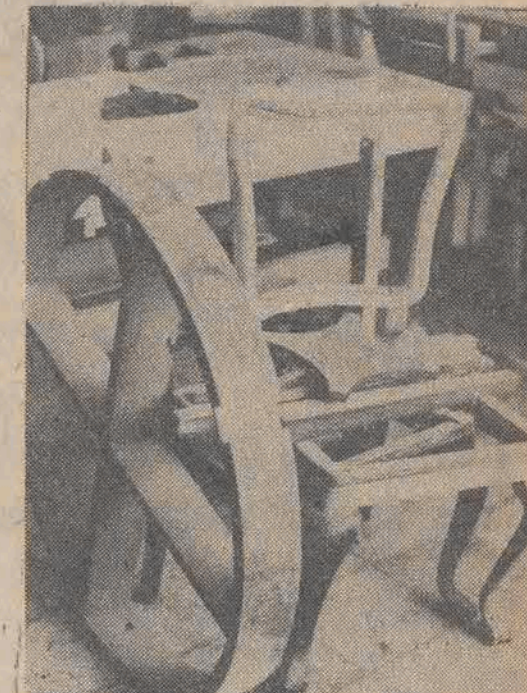
Dziś przyszedł pożegnać się ze mną — wyjeżdża wcześniej do domu. Jest pierwszy raz w sanatorium i bardzo już mu się dłuży. Dotychczas niewiele mówiliśmy o sobie i swych rodzinach. Teraz zwierzył mi się, że ma młodą żonę i troje dzieci, niedawno budował dom, budował go sam, bo żona też pracuje, przedzławił się i nabawił dyskoplant. Kiedy chodził, jakoś tego nie odczuwał, ale dłuższe siedzenie staje się dla niego nieznośne.

Tadeusz (bo okazał się moim imiennikiem) opowiedział mi jeszcze, że miał starszego brata, który zachorował na raka dolnej części kręgosłupa. Uprzedzono żonę, że zostało mu niewiele życia i żeby wzięła to pod uwagę przy ewentualnym powiększaniu rodziny, ale drugie dziecko było już w drodze.

Pożegnaliśmy się słowami, że może jeszcze kiedyś gdzieś się spotkamy. A ja oddałem mu refleksję nad chłopskim racjonalizmem, który spokojnie przyjmuje różne dopusty boże i stara się na wszelki możliwy sposób zabezpieczyć rodzinę i potomstwo. Ten chłopski racjonalizm traktuje chorobę i śmierć jako natu-

Henrykowskie Zakłady Mebli Artystycznych

GRZEGORZ GALASIŃSKI



Oto kilkanaście dni przeżytych w poszukiwaniu samotności i zdrowia. A także kilka przemyśleń zanotowanych podczas pobytu w Busku.

Parę dni między biegunami

TADEUSZ GIGGIER

Mam jeszcze w oczach tamtą trasę: Przysuchę, Opoczno, wiejskie chałupy z porośniętymi mechem strzechami — obrazy gdzie indziej dawno zapomniane. Końskie prezentuje się znacznie okazale: sporo tu nowej zabudowy, ale i stare budynki, niektóre w stylu dworskim i te mniej wytworne, drewniane — trzymają się jeszcze całkiem dobrze. Jedziemy ulicą Zamkową, widzę fragmenty dawnych murów, a nieco dalej — kamienny masyw kościoła.

Więc tak wygląda rodzinne miasto mojej matki, w którym spędziła dzieciństwo i młodość. Autobus jedzie powoli, jakby kierowca chciał dać mi sposobność obejrzenia domu, w którym się urodziła i wychowała. Na próżno. Nie byłem tu nigdy z nią i nie ma już nikogo z rodziny, kto by mógł dom ten wskazać.

A potem Kielce i nowoczesny dworzec autobusowy. Niedługo po wyjeździe z miasta okolica staje się urozmaicona, jawią się pagórki i doliny, wszystko to przesłonięte przedwiośniową mgłą, której nie potrafią rozproszyć promienie zachodzącego słońca. Jest wiosna, a właściwie spóźnione przedwiośnie, za parę dni święta, trwają prace przy zagrodach, pobijają się ognie z palonych liści i innych odpadków jesieni i zimy. Szosa zakręca, za nami dolina pełna niebieskich, snujących się leniwie dymów. Zdaje mi się, że słyszę suchy trzask ognisk i dalekie, chrapliwe pianie kogutów. Ale to tylko złudzenie.

4.IV.1985. — Wychodzę z sanatorium i idę w kierunku wsi Chotelek, o której przeczytałem w przewodniku „Busko i okolice”. A właściwie — idę w kierunku słońca, jakby mogło ono rozproszyć wewnętrzne ciemności (świeża jest jeszcze śmierć ojca i najbliższego przyjaciela, zmarli zaraz jeden po drugim, tak się złożyło, że ojciec spędził właśnie w Busku swoje przedostatnie chwasy, ślady, wszędzie ślady). Idę chodnikiem wzdłuż parku, po przeciwnej stronie okazałe wille i drewniane domki z pokojkami na górkach, do których prowadzą oddzielne schody.

Chodnik się kończy, trzeba teraz iść skrajem szosy. Przyglądam się pierwszym wiosennym pracom w polu, krok mój staje się lżejszy i jakby żelazo trochę na sercu (to prawdziwy wyłom w moim obecnym samopoczuciu). Przy drodze kilka brych modrzewi, dalej sady jeszcze nagie, drzewa jeszcze zimowo nastroszone — z niskimi, szeroko rozrośniętymi konarami. Od ziemi odrywa się nagle para zajęcy, uciekają w pole, po chwili jednak przystają i patrzy, patrzą mniej na mnie, bardziej na siebie.

A oto i wieś Chotelek wijąca się zakrętami, za jednym z nich, na wzniesieniu, mały drewniany kościółek (podobno z XVI wieku), cacko budowlane z luską drewnianych gontów i mała, zgrabna wieżyczka wieńcząca sklepienie. W kościele dwie staruszkę robią porządek przed świątynią. Jedną z nich, jeszcze zwawą, ubolewa, że przyszedłem za późno (tak jakby mnie oczekiwała), bo musiały same przzenieść szafę i przestawić konfesjonał, tego zażyczył sobie ksiądz, chciał, żeby konfesjonał został odsunięty od ołtarza w głąb nawy, gdzie zwykle stoją męczycielski oporny na spowiadanie. Rozglądam się po wnętrzu kościoła, na strople miała być renesansowa polichromia, teraz widzę tam tylko surowe deski. Czy ktoś zabezpieczył, czy może zniszczył polichromię? Kamienna, miejscami pozapadana, wytarła posadzka, z lewej strony ołtarza stara, niziutka kanzalka z trzema schodkami, obok niej pęknięta tablica z niezbytelnym już napisem — zapewne miejsce spoczynku

światem, z „uniwersalizmem idei”. Czulem to pęknięcie od dawna, nosiłem je w sobie, lecz nigdy nie potrafiłem go wyrazić. Podobnie przedstawia się sprawa mego stronięcia od ludzi, pragnienia samotności, i stałego „wyrwania się do nich, chęci przebywania z nimi. Może życie rozpięte jest między tymi dwoma biegunami.

10.IV.1985. — Tajemniczy Daleki Wschód stworzył wiele szkół walki i — kuracji, z akupunkturą włącznie. Założycielem jednej z takich „szkół medycznych” był Yoshin Miura, który utrzymywał, że wszystkie choroby są tylko ciałnym przejawem konfliktu między człowiekiem i jego otoczeniem.

Ciekawa teoria. Jeśli odpowiada ona prawdzie, to powinienem w Busku znacznie podreperować swoje zdrowie, bo żyję tu bezkonfliktowo, na luzie, a otoczenie ma charakter wybitnie relaksowy. Mam w sanatorium zaciszny pokój, oddzielony dwójgłębym drzwiami od korytarza, za oknem widok na stary park, który odmładza się dosłownie w oczach z nadejściem wiosny. Wiosna, i to nasza polska, nie chińska, potrafi także stworzyć „szkołę medyczną” — szkołę reanimacji. Pociągają mnie dalekie wstrząśnienia za zdrowiskiem i długie wędrówki, których sobie nie żałuję.

Kiedy idę wziąć kąpiel kwasowogłową, przechodzę remontowanym właśnie korytarzem, na którym stoją rzędem wyscielane fotele. Brygada remontowa obłupuje tyłki ze ścian i wszystko to spie się na meble. Nikt nie pomyślał o ich usunięciu, a przecież w pawilonie znajdują się przestronne sale wypoczynkowe. Któregoś raz nie wytrzymałem i mówię o tym Jaziebniej.

— To, panie, nie moja sprawa — odpowiada. — Dyrekcja wie przecież, co tu się dzieje.

Przychodzi wieczór i zasiadam wraz z innymi kuracjuszami do telewizji. Panie bawia się trzymanymi w rękach kluczami od pokoi i stale nimi pobrzękuje, panowie — mniej wstrzymieliwi — licytują się w głośnych odzywkach i komentarzach. Krew uderza mi do głowy, z trudem powstrzymuję się od własnego komentarza, aby nie popaść w konflikt z otoczeniem. Bo mam przecież w pamięci mądrą szkołę Yoshin Miury.

15.IV.1985. — Przeczytałem, jak to już dzieje się od dawna — ze znacznym opóźnieniem, wydaną przed dziesięciu laty książkę Jana Józefa Szczepańskiego „Przed nieznanym trybunałem”. Opóźnienie nie ma tu zresztą znaczenia — rzecz dotyczy stawianych na nowo (bo w świecie współczesnym) elementarnych pytań o sens ludzkiej egzystencji, o wiarę i niewiarę, o prawa moralne i odpowiedzialność za nasze czyny przed bliżej nieokreślonym sędzią.

Autor nie daje odpowiedzi, zachęca tylko do wysiłku w ciągłym stawianiu pytań i ostrzeżenia przed zobojętnieniem, które graniczy z cynizmem. Zadawałem sobie kiedyś tych pytań sporo, wśród nich pytanie o prawo do szczęścia, szamotałem się, kaleczyłem w tej szamotaninie siebie i innych — i osiągnąłem tylko to, że stałem się właśnie obojętny. Tak mi się przynajmniej wydaje. Czasami chciałbym, żeby tak było naprawdę. Zwiąszcza, gdy coś mnie nagłe poruszy i okazuje się, że tak nie jest.

20.IV.1985. — Podszedł do mego stołka przy obiedzie, w pierwszy dzień pobytu i zapytał, czy przypadkiem nie będzie ze mną mieszkali, bo dowiedział się z recepcji, że ma już jakiegoś współlokatora. Mógł mieć około czterdziestki, średniego wzrostu, czerniawy, twarz pociągłą, z charakterystyczną śniadą obwódką po goleniu.

ralną kolej rzeczy, starzenie się — jako nieuniknione prawo natury, nad którym nie należy rozdzierać szat. Uczyć się, uczyć takiego racjonalizmu.

Ranek był słoneczny, więc zdecydowałem się na wyprawę do Skorocic, o których wyczytałem, że jest tam bardzo ciekawy rezerwat przyrody. Idę przez wieś, przed jedną z zagród siedzi dwójka dzieci, dziewczynka i chłopiec, dziewczynka mówi mi „dzień dobry”. Pytam się jej, którą drogę dojść do rezerwatu, a ta od razu, że mogą mnie tam zaprowadzić.

— To dobrze — mówię. — A jak masz na imię?

— Iwonka, a ten mój ciocieczny braciszek to Marcin.

Ona szczupła, piegowata, o bystrych oczach, on mniejszy od niej, krępy i nie tak rezolutny. Ale nie chce być od niej gorszy, mówi mi, że dziś we wsi są dwa wesela, a zaraz potem, że tam w rezerwacie, w jednej grocie to mieszka „przekięta panna”. Iwonka nie daje za wygraną, „przebija” ciocieczne brata.

— A wie pan, jeden od nas to się powiesił w więzieniu, kiedy skazali go za złodziejstwo.

— I potem ucięli mu głowę — mówi z powagą Marcin.

Dochozimy do rezerwatu, dzieci zbiegają z górki i znikają w skalnej grocie. Nie mam wyboru, schodzę za nimi, ale grota jest niska i wilgotna, głązy śliskie, więc muszę posuwać się na czworakach. Potem odsiania się moim oczom następne wzgórze, którego łagodny stok porośnięty jest rozkwitłymi świeżo miłkami. Wygląda to tak jak na dziecięcym rysunku: zielony dywan z wszczepionymi w niego kwiatami o barwie jaskrawożółtej.

— Te miłki są pod ochroną — mówi Iwonka. — I fiołki też. Ale tu rosną także „psie bródki”, zaraz ich panu narwę.

I wręcza mi kilka fioletowych, postrzępionych kwiatków.

23.IV.1985. — Kończy się mój pobyt w Busku. Raz jeszcze potwierdziła się, niesłuszna, prawda o dniach pierwotnych, które są dniami najlepszymi. W tym wypadku może i trochę dlatego, że zaraz po moim przyjeździe nastąpiła tu prawdziwa eksplozja wiosny, było pogodnie i ciepło, a potem przyszyły chłody i deszcze, i wiosna jakby zatrzymała się w pół kroku. Ale przecież nie tylko to. Na początku delektujemy się nowym, nie znanym dotąd miejscem, frapujemy nas nowe środowisko i otoczenie, nowi ludzie, bardzo nam odpowiada takie życie „na luzie”, swoboda, dużo wolnego czasu. Potem przywykamy szybko do tego, a w końcu zaczyna nas to nużyć. Nie wiemy, co robić z wolnym czasem, zaczynamy wzdychać do normalnego życia i codziennych zajęć. Znam to już dobrze, ten powtarzający się proces. I chyba z tego powodu nie lubię jeździć w te same miejsca, szukam ciągle nowych. Wyjątek stanowi Suwalszczyzna i leśniczówka na Gawarcu, do której jeżdżę latem każdego roku. Ale to jest „mój drugi dom” i tam sprawa przedstawia się całkiem inaczej.

owy Sącz, wrzesień.
Kochana Ciociu Wisiu. Nie gniewaj się na mnie, że tak długo do Ciebie nie pisałam, ale naprawdę jakoś nie mogłam się zebrać. Ostatecznie mogłabyś Ty napisać do mnie pierwsza. Ja mam jeszcze napisać do Mamusi, Tatusia i muszę wysłać kupę kartek. Mamusia jest już w Warszawie, więc wszystko o Niej wiesz. Wyobraź sobie, że Tatusz zainteresował się moją chorobą i dzwonił do doktora M. No i okazało się, że wcale nie byłaś wtedy we wtorek na rozmowie w Instytucie. Ciociu, jak mogłaś tak zawalić, przecież to takie bardzo ważne! Skandal z Twojej strony!!
Ja na razie odpoczywam „pełną parą”. Leżę sobie do jedenaście i czytam. Ciocia Zosia zdobyła mi książkę pt. „Dzikowy skorb”. Poza tym przeczytałam już jeden kryminał, a potem będę czytać „Tworzywo” Wańkowicza. Naturalnie siedzę dużo, w ogrodzie z dwiema młodymi kaczkami, które mi Ciocia kupiła i które poszły wczoraj za płot do innego ogrodu, prosto w gąszcz pokrzyw. Codziennie kąpią się po dwadzieścia minut w wannie. Zebys widziała jakie są śliczne. (...)

Jeszcze w lipcu czternastoletnia Basia przebywała z matką na wakacjach w Zakopanem. Pisuje stamtąd do swoich ukochanych ciotek, Wisi w Warszawie i Zosi w Nowym Sączu, informując szczegółowo, i na ogół pogodnie o wszystkich sprawach codziennych. Z wyjątkiem choroby, której niejasne objawy uprawiają jej matkę w coraz większy niepokój. Nie są one zresztą nowe. Basia ma już za sobą napady wysokiej gorączki niewiadomego pochodzenia. Przeszła też w zimie pierwszy atak ostrego bólu w okolicach mostka.

Dziewczynka z początku prawie zupełnie pomija tę sprawę w swoich listach. Jej radości życia nie jest w stanie zmącić żaden alarmujący sygnał wysokiej gorączki czy ataku bólu.

Pisze w lipcu z Zakopanego matka Basi, do swej siostry Wisi: (...) Basia pisała ten list rano, a ja dopisuję się o godzinie 17. Strasznie się martwię, bo Basia jest chora. Godzinę temu miała 38 gorączki, że się czuje i sama już nie wiem, co to może być. Jutro, w poniedziałek, muszę wezwać lekarza, chociaż z góry jestem przekonana, że on nic nie pomoże. To są sprawy, które ciągną się od miesięcy. Basia zupełnie nie ma objawów przeziębienia (...)

Po serii konsultacji lekarskich, jeszcze w lipcu, matka Basi pisze do siostry:

(...) W tej chwili wracam od lekarza z prześwietleniem. Lekarz mi powiedział, że to jest gruźlica mostka, a poza tym od strony wewnętrznej mostka jest prawdopodobnie duży guz. Jest też stwierdzenie zapalenia płuc. Blagam Was, pomóżcie mi. To jest straszne, że Basia wyjechała z Warszawy w takim stanie, miała taką opiekę lekarską, a nikt nie wiedział. Czy mam tu zrobić prześwietlenie warstwowe, żeby sprawdzić, co to jest za guz. Spytaj się Alki. Tak mi radzi ten radiolog, podobno doskonale, już stary pan. Poruszcie niebo i ziemię! Trzeba koniecznie wysłuchać sprawę tego guza (...)

Nowy Sącz, 17 września

(...) Byłam już na paru wycieczkach samochodami wujka, na grzybach i w Marcinkowicach, gdzie bawiłam się z młodymi królikami. Obzerałam się orzechami. Po tych paru przejażdżkach nabrałam apetytu. A w ogóle czuję się świetnie, temperaturę mierzyłam. Tylko raz miałam 36,8. Słucham starych przebiegów na adapterze. Już od poniedziałku będę grał u naszych sąsiadów, a Ciocia załatwiła, że dwa razy w tygodniu będę chodzić do jednej pani na coś w rodzaju lekcji muzyki. Bardzo dobrze, bo poprawi mi ewentualne błędy, których mogłabym nie zauważyć. Pogoda dotychczas była ładna, choć pieknie zimno, ale dziś już chmury. Słyszałam, że idzie potworny niż. Ciocia kupiła mi na wystawie filatelistycznej bloczek ze znaczkami i okolicznościowym stemplem. Postaram się dla mnie o ładne zagraniczne znaczki, bo jak widać to w ogóle już o mnie nie pamiętasz. U doktora M. nie byłaś, listu nie napisałaś, znaczków nie zbierasz. Jesteś strasznie wyrośnięta Ciotko. Czekalam na odpowiedź. Dużo napisz o Mamie i w ogóle opiekuj się nią. Niech się o mnie nie martwi. Bardzo mi tu dobrze (...)

Nowy Sącz, 28 września

(...) Mam nadzieję, że nie gniewasz się na mnie z powodu moich wymysłów. Przecież nie wiedziałam, że mój pierwszy list tak późno dostałaś... Cieszę się bardzo, że Dziadek za mną trochę tęskni. Zawsze to przyjmuję, jak ktoś żali, że mnie nie ma. Pozdrów i ucałuj Go ode mnie serdecznie i powiedz Mu, że Go bardzo Kocham...

Od razu zakomunikuję Ci niezbyt wesołą nowinę. We wtorek rano Ciocia Zosia zrobiła mi morfologię: czerwone ciałka — 3 840 000 (ostatnia morfologia — 4 200 000); białe ciałka — 6900 (ostatnio 5200); hemoglobina 94 proc. (przedtem 95 proc.); wskaźnik barwy 0,97 (0,90). Różnica w hemoglobinie jest tak mała, że należy to przypisać raczej innemu aparatowi. Ale pogorszenie w białych i czerwonych ciałkach jest dość widoczne. Ja sama czuję się nieźle, choć ciągle nie mogę dojść do siebie. Wciąż jestem oklapnięta i zmęczona. Wybrałyśmy się z Ciocią do doktora M. Ma on fantastyczny zbiór płyt. Wszystkie moje ukochane utwory w

pierwszorzędnych wykonaniach. Łącznie z całym wydaniem dzieł Chopina. Pożyczylam parę płyt. Ten list piszę przy dźwiękach koncertu J. S. Bacha. Ciocia każe mi codziennie mierzyć temperaturę. Waha się w granicach od 37,1 do 37,3. Jeszcze raz proszę Cię, żebyś dbała o Mamusię. Czy się leczy? Nic mi o niej nie piszesz, choć tak o to proszę. (...)

(...) Strasznie się cieszę, że opiekujesz się Mamusią. Chciałabym, żeby jak najwcześniej wycofała. Przede wszystkim niech się o mnie nie martwi, bo wszystko będzie dobrze. Niech chodzi wcześniej spać, dobrze się odżywia i nie zajmuje się Ojcem. Bardzo dobrze, że była w kinie, zaprowadź ją jeszcze na dobre, ale pogodne filmy i do teatru. Mam nadzieję, że Mama nabrała rozumu i nareszcie zrozumiała, że musi się leczyć.

Krótką historią jednego dramatu.

Listy roku ostatniego

Wczoraj rano o mało nie zemdlalam, a potem miałam takie okropne bóle, że to się nawet nie da opisać. Czegoś podobnego dawno nie miałam. Aż się spocilałam z bólu. Dzisiaj chodzę, ale też się bardzo kiepsko czuję. Bardzo tęsknię za Mamusią. Całuję cię mocno i serdecznie. Basia.

Warszawa, październik. Ciocia Wisia, Paryż.
(...) Robiono mi szereg badań, przesiewień, analiz. Oczywiście nikt do niczego nie doszedł. Po porozumieniu się z panią doktor G., z wyjątkiem Edkiem i profesorem, postanowiono, że najpierw mi zrobi odprężenie i zmiana klimatu. Jadę do Cioci Zosi do Sącza. Zaległości w szkole przekraczają już miesiąc. Nie będę klasyfikowana za ten okres (...). Z Ojcem sprawa jest wciąż beznadejwna, nic się nie zmienia. Takie błędne koło. Miałam niedawno z Nim rozmowę, nie wiem co z tego wyniknie. Mama kupiła mi dziś płytę z Sonatą B-moll i Polonezem As-dur. Cudo!! W Warszawie chłodno. A w Paryżu? Napisz o nim dużo, o cenach, plotkach, wszystkim ważnym i nieważnym, byle dużo i dokładnie.

Guz wykryty w śródpiersiu i poddany badaniu histopatologicznemu w Instytucie Onkologii w Warszawie wykazał cechy złośliwości. Basię poddano kuracji światłoleczniczej. Dziewczynka bardzo cierpiała. Do matki pisała:

„Ja czuję się świetnie, skóra już prawie zupełnie zeszała i już nie się nie śaczy...”

Basia usiłowała jeszcze chodzić do szkoły. Będąc w Nowym Sączu pisze do Matki pogodną listę. Dopisek Cioci Zosi burzy złudzenia:

„Chciałabym, żebyś nie zniszczyła tego listu Basi. Bo może doktor nie uwierzy, że bóle były wyjątkowe...”

Dziewczynka zaklina swe Ciotki by otoczyły matkę czułą opieką, zwłaszcza, że ojciec odchodzi od rodziny.

Ciocia Wisia, Paryż. Warszawa 26 listopada.

(...) Zdziwi Cię pewno, że piszę z Warszawy, a nie z Sącza. Byłam na wizycie kontrolnej. Doktor G. jest zaniepokojony moimi gorączkami. Zaaplikowano mi leczenie tzw. chemiczne. Codziennie rano jeżdżę do Instytutu i biorę zastrzyki dożylnie, podobno to jakiś zupełnie nowy lek. Temperatura mi spada, czuję się lepiej. Do dnia dzisiejszego wzięłam 7 zastrzyków. Razem ma ich być 20. Oczywiście codzienne jeżdżenie jest bardzo niewygodne (tracę dwie pierwsze lekcje w szkole) i kosztowne (jeżdżymy z Mamą taksówką)... W szkole bez zmian jakoś ciągnę. Wczoraj napisałam co najmniej na trójkę klasówkę z matematyki. Jestem z tego bardzo dumna. W Warszawie zimno. Zapomniałabym podziękować Ci za sweterki i diadem. Sweterki jest cudny. Jeżeli chodzi o buty dla mnie, to najchętniej chciałabym jednak na szpileczki, charakter wizerunku. A może Ci się uda kupić jakieś spacerowe, jesienne? Mama ostatnio jest okropnie nerwowa, nie można z nią wytrzymać. Ostatnio upadłam w jakąś apatie. Nie wiem co to ma znaczyć.

(...) Nuty są jak najbardziej aktualne, w ogóle dźwięki Ci się, że jeszcze o nie pomyśl. Wszyscy już grają jakieś koncerty, tylko ja wciąż liczę na Ciebie. Powtarzam: Koncert fortepianowy Mozarta C-dur K. 415 lub K. 246... Mama czuje się nie najgorzej, ja również. Mam tylko od ciągłego brania zastrzyków (wzięłam już 15, zostało jeszcze 5) uszkodzoną rękę i przez to boli mnie ręka. Na ogół czuję się w porządku. Temperatura w normie, morfologia doskonała. Mam nadzieję, że po skończeniu tej kuracji wyjadę wreszcie do Sącza, może około 10 grudnia (...)

W grudniu następuje pogorszenie stanu zdrowia Basi. Zapada decyzja umieszczenia Jej w Szpitalu Dziecięcym przy ulicy Litewskiej w Warszawie. Rodzina próbuje różnych dróg załatwienia dla Basi wyjazdu za granicę na leczenie.

Odtąd listy Basi, często krótkie notatki, noszą ten sam adres — szpital przy Litewskiej.

Mamusi! Tu jest zupełnie przyjemnie. Dzisiaj już nie będę miała badań. Łóżko mam zwyczajne, jesteśmy przy na sali. Piżamę mam tutejszą, można wytrzymać. Na razie nic nie potrzebuję. Jak się trochę oswoję, to Ci napiszę więcej.

Styczeń.
Kochana Mamo, nic się nie martw. Czuję się dobrze. Temperatura rano — 37,3. Przyjdź do mnie prędko. Miałam już brną krew na badania. Mam towarzyszkę 14-letnią, dziś idzie na operację. Przyślij kartki i ołówki. Basia. PS. Przyślij dużo różnych pism i ciekawe książki.

(...) Mamusi! Odpowiadam na pytania: Do zdjęcia nie nie potrzebuję, zresztą nie pozwalają przynosić. Chcę dużo pomarańczy i cytryn. Dziewczynki są dwie, bardzo miłe, jedna ma 5 lat, chora na nerki. Druga lat 8, niedługo już ma wyjść. Czuję się nie najgorzej, ale mam dużą temperaturę, wczoraj wieczorem — 38,3, dziś rano — 38,7. Pobrano mi dziś bardzo dużo krwi i robili prześwietlenie płuc i mostka. Mam bardzo miłą młodą lekarzkę. Tu każda sala ma swoją lekarzkę i salową. Niektóre dzieci są bardzo chore. Baj Basia.

(...) Dziś miałam urografię i tomogram mostka i ledwo żyję. Wyjdę pewnie we wtorek, albo środę. Pozdrów Tatusia. Niech coś do mnie napisze. Basia.

Luty.

(...) Miałam mieć dzisiaj zdjęcie i tomogram brzucha, miałam więc dwie lewatywy i kompres. Wyobraź sobie, że te badania i jeszcze coś będę miała dopiero jutro i znów męka od nowa. Jutro też będę miała zdjęcie biodra i jakichś kości i chyba jeszcze jakieś badania. W czwartek mam mieć kropłówkę i ma przyjść na konsylium docent M. z Instytutu Onkologii. Do domu mam pójść w piątek lub sobotę. Dzisiaj wieczorem do mnie nie dzwoń. Będę miała kompres i nie będę mogła wstać. Cemu wczoraj nie napisałaś listu? Chcę o Tobie wszystko wiedzieć. Pamiętaj! Dbaj o siebie, bo inaczej ja nie wyzdrowieję. Bardzo Cię Kocham. Tęsknię za Tobą. Co porabia Tatusz? Czy Ty nareszcie masz trochę czasu, jak mnie nie ma, czy też wciąż sobie jakąś robotę znajdziesz? Powinnaś jak najwcześniej odpoczywać. Napisz do mnie długi i serdeczny list. Tylko bez gładzenia, wymówek i kazań. Basia.

(...) Mamo do Ciebie napiszę, bo jestem strasznie zła. Wybrałam sobie, że jest godzina 10.30, a ja jeszcze nie jadłam i czekam na badania, co Ci wczoraj pisałam. Czy to nie można się wściec? A te poprzednie dwie lewatywy niepotrzebne i kompres też. Chocierż organizacja. Poza tym dziś wyjątkowo boję się tych badań. Na dobitkę dowiedziałam się, że nie będę miała kropłówkę, tylko bezpośrednią transfuzję. Okropność! Podobno to nawet szybciej, ale ja sto razy wolę kropłówkę, a tak to ja widzę dawcę krwi i to ma być w jakimś gabinecie zabiegowym. Mamu ratuj! To ma być jutro.

Jestem już po zabiegu. Miałam odmę pociągającą. Jeżeli wiesz co to jest, to rozumiesz, że nie mogę pisać, bo jestem wykończona. Jest godzina 14.05 — bez niczego w ustach od wczoraj wieczór, po dwóch lewatywach. Przyjemne, co? Całuję. Basia.

Kwiecień.

(...) Wyjdę stąd prawdopodobnie w czwartek, może nawet w środę. Tak to wygląda Twoja „trzy dni”!!! I mam Tobie wierzyć. W poniedziałek mam jeszcze kilka zdjęć kostnych, a we wtorek lub środę zdjęcia naderżyci. I znów lewatywy i inne cuda. Jakoś to przemęcę. W tej chwili słucham koncertu Chopinowskiego, grają Poloneza Fis-moll. Temperaturę miałam wczoraj wieczorem 37,8, rano to samo. Czekam jeszcze dobowa zbiórka moczu. Dziś miałam jeszcze raz brną krew do badania leukocytów i płytek. Mam złoty żółtaczki, nie przynosi tyła zarca. Tu jedzenie jest dobre. Spię już doskonale. Kup mi jeszcze książki. Mamu, bardzo Cię Kocham, cieszę się, że już niedługo wychożę, choć tu wcale nie jest tak źle. Zobaczymy się w niedziele. Jedna dziewczynka, z którą leżę poszła na punkcję zatok i drze się tak, że aż tu ją słychać. Czy dbasz o siebie?

Tak się kończy ostatni z zachowanych listów Basi. Ze szpitala. Umarła 1 lipca. Może zostałaby pianistką, albo malarką... Miała ukończone 15 lat.

Opracowała: J. W.

Chciałyby żyć inaczej, ale sprzedają się za „zielone”.

Towar pierwszej świeżości

Mają po szesnastu, siedemnastu lat. Wyglądają na więcej. Dobrze, jeśli mają osiemnastu lat i dowód osobisty w torebce, bo w razie czego jest nadzieja, że straszliwej prawdy nie usłyszą rodzice. Te, które noszą tylko szkolną legitymację, boją się. Swój lek i niefine buzie kryją pod warstwą pudru, szminki i szalowych ciuchów. Wszystko to razem: puder, szminka, plastikowe klipsy i barwne galanki, jest opakowaniem. Towar, żeby dobrze się sprzedał, musi być dobrze opakowany. One są towarem pierwszej świeżości. Dziewczyny, nastolatki, licealistki. W domach mówią, że wychodzą na prywatkę albo do koleżanki. Szyły na wielkie międzynarodowe targowisko. Nazwa „Interfashion” brzmią egzotycznie. Tam pachniało wielkim światem, dobrymi perfumami, szmałem. Paradowali goście w bajecznych ciuchach, popijali złociste trunki, wsiadali do wielkich aut. Najlepiej było kręcić się przy parkingu.

Agata przechadzała się wzdłuż barierki, czasem przy-

siadała na ławce w parku. Noga na nogę, zapalała papierosa, uśmiechała się zalotnie. Towar, żeby dobrze się sprzedał, musi działać na zmysły. Kupił ją tegi facet w jedwabnej koszuli.

— Masz jakieś imię? — spytał.

— Yes, Aga.

Więcej nie rozmawiali. W hotelu dostała dziesięć dolarów i klapsa tustą łapą. Została targówka.

— Kim jesteś?

— Nie wiem.

— A kim chciałabyś być?

— Nie wiem, chciałabym żyć inaczej.

— Inaczej, to znaczy jak?

— Nie wiem. Lepiej.

Świat według Agaty wyglądał tak: ogromne skotlowane mrowisko, z którego trzeba się wyrwać. Żeby nie zwiędnąć za jakimś urzędniczym biurkiem klejąc idiotyczne koperty, żeby nie przechłapać życia w kolejkach, żeby nie przedzierać przed telewizorem. Jak matka i ojciec. Oni tak łatwo dali się wprząc w kierat pustej codzienności i już nie potrafili inaczej. Liczą te swoje marne

grosze: tyle na życie, tyle na zdrowie, tyle na miesiąc ulropu od życia, na wszelki wypadek. Wszyscy wokół liczą. Bo życiem rządzą forsą. Ona otwiera drzwi, gęby i granice. Lamie prawa fizyki, ponieważ na wierzach wypływa tylko ten, kto cięższy forsą. W szkole mówią, że to nieprawda, że człowiek pęka bogactwem piękniejszych wartości, od czego dostaje się frazesowej czkawki, bo wystarczy wyjść na ulicę. W szkole każą nosić jednakowe mundurki i kłaniać się nauczycielom. A jak można szanować kogoś takiego, komu chuda pensja ledwie starcza do pierwszego. W życiu każdy się podkłada na każdym kroku. Ludzie mają stanowiska i tytuły, a sprzedają się bez oporów.

— Co zrobisz z tymi dziesięcioma dolarami?

— Kupię sobie coś to „Pewexie”.

— Patrząc na to coś, będziesz myślała kim jesteś.

— Moja matka po miesiącu pracy nie zarobi więcej niż ja dostanę za dwa razy.

— Dlaczego mówisz „dostanę”?

— Zawsze dostawałam pieniądze za to, czego nie chciałam robić — za to, że byłam grzeszna, że poszłam do liceum, że byłam na imieninach u upiornej ciotki...

One kochają luzę. W targowych pawilonach pachniało inaczej, kawał światła rozciągał swe kuszące wonie. Zapach trafił być jak narkotyki. Od rana do wieczora trwał wielki panoramiczny film z plejadą gwiazd, bajecznych kreacji, dobrej muzyki, dobrego smaku, dobrych manier. Wszędzie ko na sprzedaż. Piękne model-

ki, eleganccy panowie, szlestatki, zwiewnych tkanin. Kiedy się ma siedemnaście lat i gładki zyciorcy, wtedy chce się ufać fabryce snów, zanim fabryka życia nie przekreśli przez szare tryby.

One rodzą się z obłudy i zachłanności. Z domów, w których głównym lokatorem jest szmal, a jedynym znany ucuciem pazerność. Z pożądania nowego mebla, kolorowego telewizora, puszystego dywanu, nowej szmatki. Można tak całe życie przelicytować na plasty kielbasy. Hotelowy portier o nich mówi, że mają głowy nabite ciuchami. Żadnych oporów, wstyd nie jest w cenie. Władzą do łóżek cudzoziemców, jak do karety baśniowego księcia.

Początek baśni zwykle wygląda tak: po lekcjach spacer Piotrkowska, oglądanie sklepowych wystaw, lody w „Grandce”. Wielkim białym autem podjeżdża panicz, zaprasza do środka. Tu następuje chwila wahania, łamanie marnych resztek zasad. Potem jest kawia, szampan, hotelowy pokój, zielony banknot albo jakiś gałganek z zagranicą metką na pożegnanie. Bez moralu. Taki jest koniec baśni.

Dalej będzie już proza.

Powtórzą się sytuacje, miejsc. Karolina zaczynała pod „Wieżą Babel”, tam kręcił się największy zagranicznych studentów. Miała szesnastu lat. Pierwszą rzeczą, którą ucza się obokrajowcy zanim opuszczają podstawy naszej mowy, jest sztuka przeliczania zielonych na złote. Z tego wychodzi góra pieniędzy. Karolina wycierała studenckie tapczany za ochłapy tej góry. Akademiki, wynajęte mieszkania, ho-

tele. Normalnie chodziła do szkoły, odrabiała lekcje, w niedzielę obowiązkowo deptała do kościoła. Grała. Jej rodzice do dziś nie poznali prawdziwej.

— Jak to możliwe?

— Zwyczajnie. Ojciec gra rolę męża i ojca, chociaż żyje z inną panią. Matka gra rolę żony, bo tak jej wygodnie. Wszyscy grają.

W wypracowaniu z języka polskiego Karolina napisała:

„Idealnym współczesnym człowiekiem powinno być dążenie do wspólnego dobra poprzez uczciwość i sumienną pracę. Nasza przyszłość leży wyłącznie w naszych rękach i dlatego musimy ją kształtować według szczytnych wzorców, które przekazyują nam starsze pokolenia”.

— Wierzyś w to, co napisałaś?

— Nie. To jest trucie.

— Więc czemu tak napisałaś?

— Bo tego się od nas żąda. Mówienie zgrabnych bzdur, powtarzanie okrągłych formułek, telewizyjnego gadania. Postulowania. Tylko myśleć wolno inaczej.

— O czym wolno myśleć?

— O tym, żeby żyć po ludzku, mieć swoje pieniądze na parę ważnych spraw, nie martwić się o jutro.

— To ci wystarczy?

— Chyba tak.

Hotelowe drzwi, recepcyjny hall, winda. Tędy przemycają. Portier wcale nie uważa, że jest jakaś sprawa. Ma z tego kawałek chleba.

— Każdy chce skubnąć coś dla siebie. Dziewczyny też — recytuje na zimno.

— To nie jest zabawa dla takich młodych.

— Goście ostatnio wolą młode dziewczyny, od starych panienek się opędzają. Oni tam, na Zachodzie, mają siła z powodu AIDS. Przed tą pasakną chorobą nie uchroni ani wypchany portfel, ani konto w Komerzbanku. Dlatego goście wolą młode dziewczyny, bo te na pewno są świeże, czyste i zdrowe.

— To nie jest w porządku.

— Nie moja rzecz.

— Ma pan córkę?

— Nie pańska rzecz.

Znowu Piotrkowska. W wejściu pod siedemdziesiątym uparcie dyżurują cinkciarze. Mają z tego kawałek chleba, a raczej maselka do tego chleba. Każdy chce skubnąć coś dla siebie. Dwaj taksówkarze wolniutko krążą wokół hoteli, jak wokół plastra miodu.

Na ławce siedzą dwie dziewczyny. Na widok milicjantów sztubackim odruchem gaszą papierosy. Ulicą powoli idą eleganccy panowie.

— Startuję do tego wysokiego — oznajmia pierwsza.

— Nie warto — radzi druga.

— To chyba Enerdowiec. Wiesz, idzie piechota.

— Co powiesz w domu, jak zapytają, skąd masz nowe ciuchy? — pyta pierwsza.

— Przecież nie powiem, że z dupy.

Chichoczą.

— Najważniejsze, żeby ojciec nie poczuł ode mnie papierosów.

ROMAN KUBIAK

Imiona zostały zmienione.

zastrzyków, a są to trudne zastrzyki, w kręgosłup. Ci z PKPS byli u niej ostatnio dwa miesiące temu, aczkolwiek oficjalnie została zameldowana u nich przez szpital onkologiczny i powinni otoczyć ją opieką. Wydzwaniam do Biura Notarialnego, żeby przystali kogoś, bo chce sporządzić testament, ale w Biurze Notarialnym wszyscy są zajęci — poradzi jej, aby wydelegowała w swoim imieniu kogoś z PKPS, lecz pięknotuchy z owej czcigodnej instytucji również nie mają czasu. Do szpitala już nie wróci, bo zaawansowane stadium choroby przekroczyło barierę możliwości polskich onkologów. Mogłaby próbować za granicą. Ma syna na Zachodzie, opuścił kraj przed wprowadzeniem stanu wojennego. Jedyną, ukochaną dziewczynę, wychowaną zresztą w dużej mierze przy pomocy pobrękującej garnkami Puni. Od-

głosów", „Kultury” i „Przebiegu Tygodniowego”. Punia podniosła delikatnie głowę chorej i przystawiła jej do bladych, bezkrwistych ust szklankę z jakąś miksaturą. — Proszę to wypić, pani doktor — powiedziała łagodnie. Chora postuchała i wypita.

3.

Ożywiła się trochę. Zdjęła okulary w rogowej oprawie, otarła lzy czystą chusteczką, poprawiła kołnierzyk czystej, starannie wyprasowanej pidżamy i pograżyła się we wspomnieniach. Była pierwszą kobietą w Łodzi, która zrobiła prawo jazdy. Po ukończeniu studiów medycznych wraz z pierwszym powojennym rocznikiem absolwentów zaczęła pracować, za darmo, żeby się czegoś nauczyć, w szpitalu na Rado-

ramię w ramię, dzięki czemu, jeśli nawet wyrzekają na socjalizm, żyje im się dobrze. W tej fabryce, w której ona pracowała, zatrudniano też internistę. Przyszła kiedyś do internisty dziewczyna, że to niby, patrzcie, jaka bezczelność! boli ją brzuch. — Przyjdź jutro! — powiedział internista i zniknął, i ona, ginekolog, wchodząc niewatpliwie w kompetencje kolegi wzięła ową niecną symulantkę na fotel, po czym wysłała ją z ropnym wyrostkiem do szpitala, wprost na stół. Operacja przebiegła pomyślnie, dziewczyna wróciła po kilku dniach do pracy, lecz ona, ginekolog, została zmieszana z bólem za wtrącanie się do nie swoich spraw. Od wyrostków robaczkowych są przecież internisci! Broniła się, że dziewczyna mogła mieć ciężą pozamaciczną i że w związku z tym badanie było, zasadne. Tak czy owak, naraziła się zwierzchnikom. Kawa, owoce i czekolada są

społci się i zadyszki, nim to rozwali na kawałki. Szuka zimą takich mężczyzn, gotowych przynieść za opłatą koks z piwnicy i oporzadzić go na leżycie. Nieraz znajduje ich, a nieraz marznie całymi dniami. Śnieg wdiera się przez szczeliny w starych i nieszczelnych oknach. Zgłaszała tę usterekę do administracji — bez skutku, oni też są zajęci, co ich obchodzi umierająca kobieta. — Pani doktor — mówi Punia — była zawsze ludziom pomocna. Miała złote serce, troszczyła się o wszystkich. Nie było dla niej złej i późnej pory, żeby poratować człowieka. Od biednych nie brała pieniędzy, a potrzebne jej były... — Mąż żyje? — pyta reporter. — Żyje — odpowiada chora. — Odszedł z młodszą, kiedy syn miał pół roku. Chcieli mi zresztą nieuczciwymi sposobami zabrać dziecko, ale obronili mnie pani Ajnenkiel. Sama z Punią je wychowywałam, trzeba było na to zarobić; jak nie szpital, to przychodnia i dyżury, prowadziłam także pewien czas praktykę prywatną. — Utrzymuje pani jakiś kontakt z mężem? — Nie. — A syn? — Owszem. Są w dobrych stosunkach, których nigdy nie próbowałam zepsuć. Dziecku potrzebny jest ojciec. Lepszy ojciec, którego widuje się raz w tygodniu, niż ojciec, którego nie widuje się wcale. Ale wychowałam syna bez jego pomocy. Dałam mu staranne wykształcenie. Skończył studia, nauczył się języków. Objechał z mną pół Europy. Samochód prowadził na zmianę, lecz bywało i tak, że podróżowaliśmy z plecakami na ramionach. W ten sposób zwiedziliśmy całą Skandynawię. Widzi pan, nauczyłam się szwedzkiego. Oprócz tego znam francuski i niemiecki. Studia- wałam także jakiś czas hiszpański. Syn również interesował się tym językiem. Byliśmy na Majorce. Piękna wyspa. W ogóle piękny jest świat! Ktoś, kto przeczyta pierwszą część tego reportażu, powie z pewnością, — Po co ten lament! Bez przesady. W tym mieście żyje i umiera wiele tysięcy osób w gorszych warunkach niż twoja pani doktor. Zdechają w komórkach i na opuszczonych strychach, popełniają samobójstwa, giną z rak pobawionych serca krewników albo dogorywają na korytarzach szpitalnych. Rzecz w tym, że pani doktor jest tego samego zdania. Mówi: — Są poważniejsze przypadki niż mój. Nie brak ludzi bardziej sponiewieranych i pokrzywdzonych. Trudno, muszę umrzeć. Chciałabym jednak dokonać tego z godnością. **ANDRZEJ MAKOWIECKI** **CDN**

Najpiękniejsza ulica świata

wiedziała go parę lat temu. Była już wtedy chora, rak czynił swoje straszliwe dzieło, ale nie przynależała się do tego synowi. Nie chciała zwichrzyć mu kariery. Inżynier z perspektywą. Droga operacja mogłaby go zrujnować. Teraz syn wie już o chorobie matki. Przysłała kosztowne, niedostępne w Polsce lekarstwa. Chce przyjechać, załatwił już wszelkie formalności, ona jednak sprzeciwia się temu. A nuż nie wypuszcza go więcej albo weźmą na nim odwet? — Jak przyjeżdżasz, popiełnie samobójstwo. — Gdyby mogła chodzić i nie była taka słaba, odwiedziłaby go jeszcze, za niezbedne po temu papiery. Lepiej jednak umrzeć w kraju. Stan, w jakim się znajduje, dawno przekroczył barierę możliwości onkologów światowych. Nawet w Ameryce nie ma takiego lekarstwa i takiego chirurga, który mógłby ją uratować. Zna się na tym, nie ulega złudzeniom. Teraz czeka, aż tylko smęgi, która przyjdzie za dnia albo zakradnie się jak hiena noca. Trudno. Nie jest już młoda. Skończyła sześćdziesiąt siedem lat. Co miała przeżyć, to przeżyła. W sumie nie może narzekać. Punia poczęstowała reporterów kawą. Chciała podać także czekoladę, ciasta i owoce, ale odmówił. Reporter nie jada czekolady, ciast i owoców. Nie wykształcił sobie w tym kierunku podniebienia. Spojrzył na nowoczesny, kolorowy telewizor, którego właściciel tkwił obok chorej przy łóżku, podobnie zresztą jak dwa tranzystorowe radio-odbiorniki i telefon. Na etażerze u nóg leżały stopy „Od-

głoszu i w Szpitalu Wojskowym, a etat dostała dopiero w szpitalu imienia Jordana, gdzie szefem oddziału ginekologicznego był znakomity lekarz, doktor Józef Fidler. Nawet z chwilą przejścia do przemysłowej służby zdrowia nie zerwała z doktorem Fidlerem i zawsze, kiedy ją prosił, brała u niego nocne dyżury. W czasie których wypalała kilkadziesiąt papierosów (!) i wypijała mnóstwo kawy. Przemysł nie jest wdzęcznym poligonem dla lekarza. Dużo się mówi o absencji chorobowej, a doktor, choćby ginekolog, powinien służyć interesom fabryki i patrzeć na każdego pacjenta podejrzliwie. Nie zalewaj, kochana, żadnych zwolnień, wracaj do hali! Tak jakby robotnik nie miał prawa zapaść na zdrowiu i zwolnienie należało mu się tylko wówczas, kiedy zakład organizuje pociąg przyjazdny dla podratowania sytuacji finansowej pracowników. wiadomo bowiem, iż w pociągach przyjazdnych nie brakuje spekulantów i handlarzy. Sprzeciwiała się takim zwolnieniom, sprawiedliwie jednak będzie dodać, że nieraz, wedle własnego lekcykonu, wystawiała zwolnienia lipne. Robotnica miała nieślubne dziecko na wsi — zwolniła ją na dwa dni, żeby mogła pojechać cichaczem do wlejskiej chaty, nakarmić małą, wykapać i odwyszyć. Inna musiała pomóc mężowi w stanie delirium, jeszcze inna opiekować się umierającym sąsiadem, ani to brat, ani swat, ale człowiek. Lekarze przemysłowi marszerują zwykle z dyrekcją

tylko dla gości. Nie wolno jej tknąć niczego co słodkie i sione. Menu zawęża się do kilku prostych potraw — twarożek, kasza, ryż, siemię lniane, szczypta gotowanego mięsa. Jest szczęśliwa, bo podruczono jej wczoraj trochę mleka w proszku. Płyn profesora Tolpy zdobyła tylko trzy razy — za każdym razem przez opłacanych pośredników. Za każdym razem miały inny smak, więc były prawdopodobnie fałszywe. Krople z morfiną, broniące ją przed potwornymi atakami duszności, oszczędza jak może — bierze je tylko dwa razy w ciągu doby, a powinna brać trzy, nielato jednak o dodatkową receptę. Własnie lekarstwa i zastrzyki stanowią największy problem. Punia, choćby wyszła ze skóry, nie wyreczy w tym lekarzy i pielęgniarek. Zresztą Punia ma całą masę własnych kłopotów — własną rodzinę, własne choroby i własną starość. **4.** Teraz, latem, nie jest tak źle, ale zimą przeżywała ciężkie momenty. Rzecz w tym, że mieszkanie — lokalne, trzeba przyszaczyć koks z piwnicy i porąbać go przed wsadzeniem do pieca. Płaci za koks pierwszego gatunku, tak zwany orzech, a przywożą jej bryły, które trzeba potłuc. — Punia, pokaż panu nasz koks. Punia przerywa posłusznie pracę w kuchni i demonstruje reporterowi imponującą pęczną. Nawet silny mężczyzna



Foto: Grzegorz Galasiński



Mówi: Jerzy Wawrzak

— W latach 1972—82 kierowałeś „Odgłosami”, a przez ostatnie 5 lat łódzkim Oddziałem KAW... — Szkoda, że nie odwrotnie. W tygodniku pracuje się na krótszy dystans, każdy zamysł można stosunkowo szybko zrealizować i sprawdzić u czytelnika. Wydawca musi być cierpliwy, od pomysłu książki do jej pojawienia się na księgarskiej ladzie mija nieraz wiele lat. Ale satysfakcja jest większa, książka żyje długo, jeśli coś sobą reprezentuje. — I masz tę satysfakcję? — Powiedziałbym, że połowicznie. Czasy nie były i nie są łatwe. Zawsze brakowało papieru, po części zdobywalny go przez różne sztuczki. Niewydolność poligrafii jest powszechnie znana. Wielu spraw po prostu nie da się przeskoczyć, ale w kryzysie też można iść do przodu, tylko wolniej i kosztem większego uporu. Czego nie zdążyłem zrobić, z tym musiał się uporać mój następca. I będzie dobrze. Jest doświadczony zespół, świetne warunki pracy, a przede wszystkim duży i liczący się krąg autorów, z Łodzi i całego kraju. To podstawowy kapitał edytorski i to jest najważniejsze. — Jak więc oceniasz ten okres? — Nie mogę odpowiedzieć na takie pytanie. Każdy wydawca prowadzi działalność publiczną i jest surowo oceniany przez czytelników i krytykę, mniej lub bardziej fachową. U nas w Krajowej Agencji Wydawniczej funkcjonuje sprawne dodatkowe systemy ocen wewnętrznych, swoista konkurencja ambicji między oddziałami i redakcjami. Wierz mi, że żadne potknięcie nikomu nie zostaje darowane. — Nie wydałeś żadnego buble? — Zadnego, ale to nie moja zasługa. To zaleta, powiedziałbym wrodzona małego wydawnictwa. Każdy tytuł można potraktować z należytą pieczołowitością. I chyba selekcja jest ostrzejsza; żadne układy, przyjaźnie, znajomości nie pomogą nikomu wepchnąć się z miernym tekstem. — Więc wszystko ci się udało? Nie wierzę. — I słusznie. Lista moich porażek i nie spełnionych zamierzeń jest, niestety, dość długa. Nie udało nam się np. „przechwytać” polskich klasyków (zwłaszcza Władysława Reymonta, czego dokonało Wydawnictwo Łódzkie), przeszło nam koło nosa kilka interesujących książek przekładowych itp. Ale najbardziej dotkliwie odczułem fakt, że nie udało mi się wprowadzić do obiegu kulturalnego kraju kwartalnika „Realizm”. Pierwszy numer zdobył wysokie oceny, mieliśmy przygotowane następne i wszystko wzięło w łeb, mimo protekcji i zewsząd deklarowanej pomocy. To w ogóle irracjonalna historia, której nie mogę do dzisiaj zrozumieć. Czuję się też głupio, że nie wydałem książki o Michalinie Tatarównie. Ale co byś zrobił na moim miejscu, gdy po kolei czterech autorów, z którym miałem podpisane umowy, wycofało się z tego przedsięwzięcia... Ale za to ostatnio doczekałem się przyjemnie niespodzianki: schodzi z maszyn Łódzkich Zakładów Graficznych duży album o Łodzi. Likwidujemy w ten sposób żenującą sytuację, że drugie miasto w Polsce nie miało swego edytorskiego autportretu. — Wróciłeś niedawno z Gruzji i Azerbejdżanu? — Rozjechalismy się po republikach związkowych i będzie z tego obszerny tom reportaży z okazji 70-lecia Rewolucji Październikowej. Było to możliwe dzięki pomocy Związku Pisarzy ZSRR, a pomysł powstał tutaj w Łodzi, podczas pobytu moskiewskich przyjaciół. Wspomnę przy okazji, że w tych dniach wydajemy antologię prozy pisarzy zaprzyjaźnionego z Łodzią Iwanowa, oraz wieziemy tam wystawę książek i KAW-owskich plakatów. A z tej interesującej podróży postaram się dla „Odgłosów” coś napisać. — Czy również przypominasz się jako autor powieści? — Zastanawiam się na to pytanie, ale kilkuletni okres pasywności mam już chyba za sobą. W WL złożyłem wiosną moją z pewnością najważniejszą książkę „Gorzką wiek”. Jest to obszerna opowieść o ponad stuletnich dziejach robotniczej rodziny, w których jak w soczewce ogniskują się losy, zczytywałem nie słodkie, kilku pokoleń Polaków. Wszystko co przemyślałem i przeżyłem jest w tej książce. A może tylko są tam moje złudzenia? Nie wiem. To urok pisania, nigdy nie jesteś pewien czy „to jest to”. Dokonałem też pierwszej próby rozrachunku z latami 80—81, ale to powieść napisana na konkurs i nie mogę nic więcej powiedzieć. — Przeżyliśmy ten okres wspólnie, w redakcji „Odgłosów”. — Było nas tam wtedy kilku literatów i myślę, że któryś z nas powinien o tych wydarzeniach napisać ciekawą powieść polityczną. Ja na razie nie mam ochoty, za mną rozczarowania wloka się bardzo długo, chociaż z natury jestem optymistą. — I dlatego zdecydowałeś się przejść do Warszawy, do centrali KAW, gdzie, jak wiem, będziesz kierował sprawami literatury pięknej? — Właśnie pakuję manatki. Przyjąłem tę propozycję, bo się trochę na tym znam i przede wszystkim lubię tę pracę. Pół tym względem jestem szczęśliwym: zawsze lubiłem swoją pracę. Nie wyobrażam sobie, żeby mogło być inaczej. I teraz mam, co chciałem, a reszta zależy będzie od konkretnych okoliczności. Nigdy nie zamierzałem pracować w Warszawie, mimo oczywistego sentymentu do stolicy, ale tak się właśnie ułożyło. Myślę jednak, że ten fakt nie stawia mnie w kolizji z łódzkimi sprawami i tutejszym gronem przyjaciół. — Zakończeniem rozmów na tej kolumnie jest ich osobisty charakter, nawet intymny, a ty, Jurku, ciągle mi się wymykasz... — Może tak będzie lepiej? Przez tyle lat zmęczyły mnie kontrowersje wokół mojej osoby. Wiem, że były nieuniknione (choć przez mnie nie zamierzone), jeśli pełni się odpowiedzialne funkcje społeczne i zawodowe. A kim ja tu nie byłem? Aż śmiesznie byłoby przypominać że moja gorliwa potrzeba manifestowania swojej obecności. Nie potrafiłem jednak stać z boku, a i często dawałem pierwszeństwo emocjom przed rozsługą. A tacy ludzie u nas kariery nie robią. I słusznie. Musi im wystarczyć dość wątpliwa satysfakcja, że mogą być takimi jakimi są. — Nie jestem zadowolony z tej odpowiedzi. — Trudno. Chyba jestem zbyt staroświecki? Nie odpowiadają mi ekshibicjonistyczne gesty i obyczajowe ekstrawagancje, to tylko reklamowe podpórki. Moje osobiste doświadczenia i doznania nie mają żadnego znaczenia, jeśli ich nie będę potrafił przez literacką kreację przekazać Czytelnikowi. Jeśli potrafię w ten sposób coś dać drugiemu człowiekowi, to twoje wielkie szczęście. Jeśli nie, to nie ma o czym mówić. — Mimo wszystko, dziękuję za rozmowę.

potknąłem się o wystający z ziemi korzeń pomyślałem z wyrzutem o moim Aniele Stróżu rozczepiłem się za nim

— spał pod drzewem opierając głowę o skrzydło

— nigdy nie rozstawałem się z moimi krokami proszę pana mówić pan że nie jest panem tylko obywatelem a czy to cokolwiek zmienia w moich krokach?

nie byłem nigdy w Wenecji ale nie martwi mnie to — są na pewno wenecjanie którzy nigdy nie byli w moim rodzinnym mieście

Mirosław Pisarkiewicz

przechodnie powiedzieli mu że kończy się świat

— koniec świata — uśmiechnął się rozglądając dookoła zapalił papierosa i — spokojnie poszedł dalej ostentacyjnie przecięł nic się nie stało

zrzucił z siebie zbędne kilogramy strachu czytałem na plakatach brutalnie przyciśniętych do ścian sześcioletniemi wargami szeptałem: ...I gdzie są moje ślady na śniegu

Moje błędne życie pełnione w stemplach w dokumentach i niespełnionych marzeniach — Jeszcze jesteś Jeszcze bawię się z tobą w ciuclubankę poczekaj moje błędne życie Jeszcze napiszę ten najpiękniejszy wiersz

o czym można rozmawiać ze swoim Aniołem Stróżem? o wszystkim a najlepiej o smaku jesiennych jabłek

Gryziemy się z każdym dniem o każdą złotówkę a ty, twierdzisz że jesteś dziewicą nie wiem może to prawda ale to nie jest takie istotne pogubiłem gdzieś moje dziecięce marzenia i teraz już tylko wierzę w słońce

Rosną nam kolejne pokolenia Sonnenbruchów Kordlanów i Chamów

rosną nam kolejne wysypiska uczuć ...i wartości

gdzieś skończy się historia pewnego dnia ktoś rozczepi się i stwierdzi że został sam jego historia być może skończy się w chwili później i nie jest istotne że ta chwila może trwać jeszcze kilka kilkanaście lat

a tymczasem rosną nam nowe pokolenia

(jak będzie mieć kolor oczu moja córka?)

na początku wszedłem do środka później wychyliłem się stamtąd na zewnątrz gdzie mam teraz pójść by otrzymać odpowiedź na wszystkie niepostawione jeszcze pytania?

W mowa ma znaczenie powstająca w różnych krajach, z rozmaitych powodów docierają do Polaki ze znacznym opóźnieniem. Zdarza się nawet, że a. parusetletnim („Orfeusz” Monteverdigo po 368 latach). Wytwory kultury współczesnej — ze względu na swą specyfikę — domagają się jednak w miarę szybkiej prezentacji, gdyż stały rozwój form muzycznych i teatralnych dezaktualizuje z dnia na dzień treści i konwencje uznawane jeszcze nie tak dawno za „żywe” i znaczące. Dzieje się tak m.in. z formą musicalową i muzyką rockową, których ewolucja postępuje zbyt szybko jak na możliwości finansowe i adaptacyjne polskiej sceny, która nie jest w stanie przyswajać sukcesywnie nowości dla swych potrzeb. Dlatego też dopiero po szesnastu latach doczekaliśmy się polskiego (przygotowanego na zawodowej scenie) prawykonywania rock-opery Andrew Lloyda Webbera i Tima Rice’a „Jesus Christ Superstar” — wystawionej po raz pierwszy na nowojorskim Broadwayu w ro-

związku z konfliktami lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Sama zaś muzyka rockowa ulegała także (m.in. dzięki rozwojowi elektronicznego instrumentarium) znacznym przekształceniom. Realizatorzy gdyniejskiego przedstawienia postanowili dochować wierności muzyce Andrew Lloyda Webbera, przenosząc do swego teatru niemalże in extenso ścieżkę dźwiękową filmu Normana Jewlsona, utrzymaną w konwencji symfonicznego rocka. Zachowane w naszej pamięci brzmienie poszczególnych utworów — odwołujące się do orkiestry teatru i zaproszone do współpracy grupy TSA — uatwilał ścieżkę scenicznej akcji. Jej płynność — bez zbędnych przerw i „przebiegów” — pozwoliła zespołowi wykonawczemu na zachowanie odpowiedniego tempa spektaklu i jego wewnętrznej spójności — nieodzownych cech dobrego musicalowego przedstawienia. Scenografia i kostiumy okazały się rzeczywiście jedynie szkicem. Tylko niektóre postaci otrzymały charakterystyczne dla siebie ubiory (m.in. Jezus i żołnierze); inne osoby

nowi jedną z pierwszych rock-opera, będącym parawsem wczesnym modelem dla następnego egzemplifikacji tego gatunku. Jest utworem spójnym wewnątrz pod względem warstwy muzycznej i dramaturgii, ukazując masy motywy z Nowego Testamentu: siedem ostatnich dni życia Chrystusa, zdradzenie i wydanego na śmierć przez Judasza, którego postać w tekście Rice’a jest szczególnie eksponowana. Próby przekładu tego libretta na język polski podejmowane były już dawno: pierwszą pełną wersją stanowił tekst Jerzego Brodzkiego, opublikowany w „Życiu i Myśli” w roku 1973 (nr 1), a niektóre fragmenty przetłumaczył także swego czasu — dla potrzeb warszawskiej PWST — Zbigniew Stawicki. Angielska wersja arli Marii Magdaleny „I Don't Know How To Love Him” włączana była do repertuaru estradowego przez wiele polskich wokalistek (m.in. Ewę Wanat i Mariannę Wróblewską). Dopiero jednak tłumaczenie Wojciecha Młynarskiego pozwoliło na pełną prezentację „Jesus Christ Superstar” w teatrze zawodowym (amatorski Teatr Dominikański z Krakowa przedstawił tę rock-opera już w roku 1975). Autor przekładu zgłosił jednak publicznie swój sprzeciw wobec nieuznawania — przyznano Maciejowi Englertowi — prawa prapremiery. Spór dotyczący honorowania praw autorskich był może dopiero nabierze więc rumieńców. Sądzić jednak należy, iż dalsze odwołanie publicznej prezentacji tego musicalu przyniosłoby szkody zarówno polskiemu teatrowi, publiczności jak i samemu tłumaczowi, nie mogącemu ujrść owoców swej pracy na scenie. Dwugodzinna „próba otwarta” stanowi bowiem prawdziwe wydarzenie w dziejach polskiego teatru muzycznego, przekraczając barierę „niemożności”, oddzielającą polskiego widza od współczesnego repertuaru światowego. Precedensowy „Jesus Christ Superstar” uatwił być może wejście na krajową scenę kolejnych dzieł Webbera: „Evity” czy „Kotów”, a także rock-opera innych autorów. Od prawykonywania pierwszego rockowego musicalu „Hair” minęło już wreszcie lat dwadzieścia, a w Polsce pokazano jedynie jego „cepekłowską”, filmową wersję Miłosa Formana.

Na szczególną uwagę zasługuje niezwykle starannie wydany program przedstawienia, zawierający m.in. barwne reprodukcje dzieł Boscha, Cezanne’a, Dürera, van Gogha, Rembrandta, Tytjana, a także obszerne fragmenty libretta rock-opery w przekładzie Wojciecha Młynarskiego. Odkładkę programu zdobi twarz z Cakum Turyńskiego — reprodukowana także na plakacie spektaklu.

MARK BIELACKI

Teatr Muzyczny w Gdyni, „Jesus Christ Superstar”, muzyka: Andrew Lloyd Webber, libretto: Tim Rice, przekład: Wojciech Młynarski przy współpracy Piotra Szymanowskiego, reżyseria: Jerzy Gruza, opracowanie muzyczne Stanisław Królikowski i TSA, choreografia: Jerzy Sidorowicz, próba otwarta dnia 6 czerwca 1987 roku.

„Jesus Christ Superstar” w Gdyni

ku 1971. Utwór ten — znany w Polsce z licznych nagrań płytowych oraz wersji filmowej Normana Jewlsona — długo nie mógł przebić się na krajową scenę. Dopiero przed bożym trzema laty Maciej Englert oświadczył publicznie w wywiadzie radiowym, iż przygotowuje wystawienie tego musicalu w warszawskim Teatrze Współczesnym, a od kilku miesięcy wieść gminna niesła iż premierę przygotowują także teatry: Muzyczny w Gdyni i 7.15 w Łodzi. Ansambli z Wybrzeża okazał się być najszybciej gotowy do prezentacji rock-opery i 6 czerwca 1987 przedstawił „próbę otwartą” tego spektaklu. Przyjęcie formuły „próby otwartej” miało w tym przypadku podwójną motywację: poprawną i artystyczną. Autor polskiego tekstu libretta Wojciech Młynarski zastrzegł bowiem prawo prapremiery dla Macieja Englerta i Teatru Współczesnego, który dość długo swiekał jednak z prezentacją widowiska. Pierwszy publiczny pokaz Teatru Muzycznego z Gdyni nie mógł więc formalnie pretendować do miana prapremiery — zwłaszcza iż warstwa scenograficzna spektaklu nie była jeszcze w pełni opracowana. Reżyser Jerzy Gruza postanowił zatem ukazać „szkic” widowiska, którego muzyczna oprawa była już gotowa, a całość mogłaby ulegać zmianom i scenicznej „obrobce” podczas kolejnych przedstawień. Dobrze się więc stało, że dzięki przyjęciu takiej formuły nie kazano nam już dłużej czekać na teatralną prezentację utworu sprzed lat szesnastu, którego historycznej roli w rozwoju gatunku nikt kwestionować nie jest w stanie. „Jesus Christ Superstar” stanowi bowiem — mimo upływu czasu — wciąż znaczący i żywy składnik repertuaru teatrów muzycznych na całym świecie — choć zapomniano już dawno o kierunku muzycznym zwanym „Jesus music” bądź „Jesus rock” oraz o szerokiej

odżiane były natomiast w rozmaite „cywilne” kostiumy, symbolizujące najwyższe sylwetki konkretnych bohaterów scenicznych — co nie wywierało jednak wrażenia zbyt wielkiej ekscytacji czy pretensjonalności (np. czarne garnitury i meloniki kapłanów żydowskich). Również rekwizyty ograniczone do minimum, prostokąt białego płótna imitował stół podczas Ostatniej Wieczerzy, a wycięta z tworywa „łisła” symbolizowała palmowe gałązki w czasie wjazdu Chrystusa do Jerozolimy. W scenie finałowej rozpięty płócienny krzyż symbolizował ten prawdziwy, drewniany. Wyświetlane przy pomocy rzutnika napisy, symbolizowały poszczególne sceny spektaklu. Skromność środków plastycznych nie zubażała na szczęście całości przedstawienia, stanowiąc może nawet swego rodzaju atut: pozwoliła bowiem na lepsze wyeksponowanie samej muzyki, będącej głównym nośnikiem scenicznej akcji. I choć przedstawienie to ulegało będzie ewolucji poprzez rozszerzenie warstwy scenograficznej, to już obecny kształt spektaklu uznać wypada za satysfakcjonujący. Zwłaszcza, że ruch sceniczny wyraziście podkreśla miejsce akcji i przebieg wydarzeń. Uwagi szczegółowe wypowiadane zapewne będą w odniesieniu do poszczególnych kreacji aktorskich: zróżnicowanych i może nie zawsze spójnych. Większość postaci dramatu Webbera i Rice’a została obsadzona na scenie gdyniejskiego teatru potrójnie, a w jednym przypadku (Maria Magdalena) nawet poczwórnie. W pierwszej wersji „próby otwartej” bardzo dobrze wypadł jako Judasz Andrzej Pieczyński; nieco gorzej natomiast (aktorsko i wokalnie) Marek Piekarczyk z zespołu TSA — zbyt dosłowny i jednostronny w geście i ruchach. Dobre wrażenie pozostawiła po sobie premierowa Maria Magdalena, Katarzyna Chalańska. „Jesus Christ Superstar” sta-



Fragment wystawy Jeleniogórskiego Towarzystwa Fotograficznego, którą można jeszcze obejrzeć w Salonie Fotografiki LTF (ul. Piłkowska 102). Foto: Witold Werner

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa literacko — obyczajowa

DOBRA RADA

W czasie imprezy Bogusławskiego jeden z prowincjonalnych a nie bardzo dobrych artystów, przybywszy do Warszawy, wystąpił na scenie Teatru Narodowego. Gra jego tak się nie podobała, że kiedy niekiedy słyszał się dźwięk sztuki świstania. Przy końcu teatru, gdy artysta patetycznie mówił słowa, kończące jego rolę: — Cóż chcecie, bym uczynił w tym tak smutnym stanie? jeden z widzów parterowych odpowiedział mu na cały głos: — Bierz pocztę i uciekaj z Warszawy, morderco! Ogólny śmiech wyczał się dookoła, a publiczność i artysta, i widza głośnymi oklaskami okryła. „Kurier Warszawski” 1851 nr 259

SKARGA PIJAKA

Powiałał mi ojciec mój jeszcze, że raz za polskich czasów gdzieś w Nowogrodzkiem do jakiegoś obywatela na piknik zaproszony, z wielu innymi zjechał. Gościnnie i ludzki gospodarz przedniego kuflami wynosił węgryna. Był tam i Borowski. A choć głowa tego, tak żłopał, że się spili najpierwszy. Ze tam, jak to mówią, była „przynika”, a ojciec mój do kieliszka nie był ochoczy i szatny, unikając pijatyki, wyszedł i usiadł sobie na ganku. Padał drobny deszczyk. Borowski tymczasem, czując potrzebę, slaniając się, wyszedł także na ganek, stanął podie rynny, odchylił poly i swoje robił zaczął. Zeby mu nie przeszkadzać, ojciec mój wrócił do sali. Ale jak go tam obokoczyli z kuflami opoje, wymknął się znowu, i wołając nieco zmoknąć niż się upić, poszedł do stajni. Borowski stał zawsze na tym samym miejscu i w tej samej postaci. Po kwadransie wraca mój ojciec i z zadziwieniem widzi, że Borowski aż dotąd jeszcze w tej samej pozycji stoi i gorzko płacze. Zapytał go tedy: — Co tu pan tak długo robisz i czego piaczesz? — Ratuj mnie waćpan dobrodziej — zawołał Borowski oblewając się łzami — nieszczęśliwy jestem, straszliwego dostałem defekta! Od godziny już s... i w... się nie mogę! Cóż to było? Borowski, pijany, stał przy rynnie, z której woda przy drobny i powolnym deszczu drobny lała się strumieniem. Słyszac ten odgłos, zdawało mu się, że to on od godziny skończyć nie może. Stanisław Morawski: Kilka lat młodości mojej w Wilnie (1818—1825). Warszawa 1959.

LEKARSTWO DLA CUDZOZIEMCÓW

Pewien cudzoziemiec będąc w obcym kraju, zachorował na febrę, lecz żadne lekarstwo nie przynosiło mu ulgi. Razu pewnego zachciało mu się zupy grochowej; gospodyni kazala ugotować takową, zjadł więc i od tej chwili stracił febrę. Dowiedziawszy się o tym przyjaciel jego zanotował w swoim dzienniku: „Zupa grochowa jest wyborynym środkiem na febrę”. Po jakimś czasie, gdy przyszedł do niego sąsiad, prosząc go o lekarstwo na febrę, tenże zalecił mu jako najwyborniejszy środek zupy grochowej. Pacjent użył tego zbawiennego środka i umarł, a zaimprovizowany doktor, dowiedziawszy się o tym, dodał do poprzedniej uwagi: „ale tylko dla cudzoziemca”. „Kurier Warszawski” 1854 nr 125

ROZMOWA

Żyd wszedł do pokoju drugiego Żyda i zapytał: — Szmul, czy ty śpisz? — Nie, nie śpię — odpowiedział. — A więc pożycz mi dziesięć złotych. — Ja śpię — odrzekł Szmul. „Kurier Warszawski” 1852 nr 303

WIRTUOZ

Książę Karol Radziwiłł opowiadał, że widział bardzo wybornego wirtuozą na skrzypcach. — Panie Kochanku — mówił — to był muzykus nad muzykusi! Zerwała się jedna struna, on gra, zerwała się druga struna, on gra! Zerwała się trzecia struna, on gra, zerwała się czwarta struna, on gra! — A jakże to być mogło? — odezwał się ktoś. — Mości książę, wszak on wszystkie struny porwał! — Ehe! — odrzekł książę — właśnie też w tym była sztuka!

PIJAK DO TRZEZEGO PRZYJACIELA

Ziemię poi deszcz i rosa, Mgły gęste piją niebios, Ziemię soki piją krzewy, Słonce morskich wód wyziewy, Księżyc wypija promienie, Pije całe przyrodzenie, A tyś się do mnie ucepił, Bym sam jeden wina nie pił. Z anonimowej poezji XIX w.

Opracował: ANDRZEJ KEMPA

— Myśleliśmy, że nie warto powtarzać tego, co będzie we wszystkich gazetach.

— Co mają do tego inne gazety? — zachmurzył się Baulin. — Przecież kiedy wywieszaliście gazetkę prasa jeszcze nie wyszła.

— Ale później wyszła.

— I wiedzieliście, co będzie w artykułach wstępnych?

— Oczywiście, że wiedzieliśmy.

Na sali rozległ się śmiech.

— Nie udawajcie tu głupka — zdeperwowal się Baulin. — Kto nie pozwolił napisać artykułu wstępnego? Pankratow?

— Nie pamiętam.

— Nie pamiętacie... Nie zdziwiło to was?

Runoczkina wzruszył tylko ramionami.

— A propozycja Pankratowa, żeby napisać epigramaty, też nie wydała się wam dziwna?

— Przedtem też pisałem.

— Czy rozumiecie swój błąd?

— Jeżeli podchodzicie do tego tak jak towarzysze Łozgaczew, to rozumiem.

— A wy tak podchodzicie?

Runoczkina milczał.

— Głupiego udaje! — krzyknął znów Kariew.

Baulin rzucił okiem na kartkę.

— Czy jest tu Pozdniakowa?

Pozdniakowa, ładna dziewczyna, uśmiechając się weszła na trybunę.

— Co ja mogę powiedzieć? Sasza Pankratow postanowił nie pisać artykułu wstępnego, a przecież jest przewodniczącym koła, musimy go słuchać.

— A jeśli kazałby wam wyskoczyć z czwartego piętra?

— Nie umiem skakać — odpowiedziała Nadia.

— Myślałam...

— Nie myśleliście — przerwał jej Baulin. — Podobna się wam, kiedy tak znegują się nad przodownikami nauki?

— Nie.

— To dlaczego nie zaprotestowaliście?

— Bo byśmy nie posłuchali.

— A dlaczego nie zwróciście się do organizacji partyjnej?

— Ja... — Pozdniakowa zaczęła płakać.

— Ja... —

— Dobrze, siadajcie! — Baulin znów zajął do papierów. — Połóż!

— Nie ma co ich słuchać, niech mówi Pankratow! — rozległo się na sali.

— Przyjdzie kolej i na Pankratowa. Słuchamy, Połóż!

— To, co się stało, uważam za poważny błąd — zaczęła Róża.

— Błędy bywają różne.

— Uważam to za błąd polityczny.

— To trzeba tak mówić od razu, a nie czekać, aż zaczną ciągnąć za język!

— Uważam to za poważny błąd polityczny. Proszę tylko włączyć pod uwagę, że ja proponowałam zamieścić artykuł wstępny.

— I sądzicie, że was to usprawiedliwia? Umyśliście ręce, zabezpieczyliście się, a to, że takie paskudztwo będzie wisieć na ścianie, to już was nie obchodziło? Osobiście pisaliście te epigramaty, tak?

— Tak.

— Na kogo?

— Na Niestierowa, Puzanowa i Prichodko.

— Pierwszy obartuch, drugi śpioch, trzeci chuligan. Więc tak według was powinno wyglądać propagowanie idei przodownictwa?

— To mój błąd — wyszeptała Róża.

— Siadajcie!... Kowalew!

Błąd Kowalew wszedł na trybunę.

— Muszę uczciwie wyznać: kiedy tu siedziałem, nie miałem dość jasnego pojęcia o politycznej istocie sprawy, wydawało mi się, że to był żart, głupi, niestosowny, ale tylko żart. Teraz widzę, że wszyscy okazaliśmy się narzędziami w rękach Pankratowa. Prawdą jest, że należało na to, żeby zamieścić artykuł wstępny. Ale gdy była mowa o epigramatach, milczałem: na mnie też pisali wierszyki, więc pomyślałem sobie, że jeżeli zaprotestuję, to koledzy będą uważać, że boję się krytyki.

— Krepowaliśmy się powiedzieć? — uśmiechnął się Baulin.

— Tak.

— Kowalew od razu przyszedł do organizacji partyjnej i uczciwie opowiedział jak to było — wtrącił Łozgaczew.

— Mógł przyjść przed wywieszeniem gazetki — zaproponował Baulin.

Wstał Siwierski wykładowca topografii. Sasza nie podejrzewał nawet, że Siwierski należy do partii. Ten milczący człowiek o wojskowej postawie, w niebieskich kawalerskich spodniach i długiej białej kaukaskiej koszuli przypominał mu byłego oficera armii carskiej.

— Kowalew! A więc krepowaliśmy się wystąpić przeciwko epigramatom wymierzonym w was?

— Tak.

— To dlaczego nie zaprotestowaliście przeciwko epigramatom na innych?

— Demagogia! — rozległ się głos Kariewa.

— Zaciemnia sprawę! — krzyknął ktoś inny.

Baulin wskazał ręką audytorium.

— Słyszycie, towarzyszu Siwierski, jak aktywnie oceniam wasze pytanie?

— Chciałem powiedzieć młodemu człowiekowi Kowalewowi, że nie warto zaczynać życia w ten sposób — spokojnie powiedział Siwierski i usiadł.

— Możecie zabrać głos w dyskusji — zaproponował Baulin. — A teraz posłuchamy głównego organizatora. Prosimy, Pankratow.

Sasza siedział z tyłu wśród studentów innych wydziałów, słuchał i myślał, co ma odpowiedzieć Baulinowi. Oczekują od niego przyznania się do błędów, chcą usłyszeć JAK będzie się kajać. CO znajdzie na swoje usprawiedliwienie. Czy żałował tego, co się stało? Tak, żałował. Mógł nie spierać się z Azizjanem, mógł zrobić gazetkę tak jak zawsze, i nie byłoby całej tej historii, która tak nieoczekiwanie i bezsensownie wdarła się w jego życie, w życie jego kolegów. Trzeba wytrzymać, wybronić przyjaciół, przedstawić swoje racje. Oprócz Baulina, Łozgaczewa, Kariewa jest tu przecież Janson, jest Siwierski, są inni, którzy mu współczują.

Sala ucichła. Ci, co wyszli na papierosa, wrócili. Wiele wstało z miejsc, żeby lepiej widzieć.

— Przedstawiono mi ciężkie zarzuty — zaczął Sasza — towarzysze Łozgaczew użył nawet takich wyrażań jak dywersja polityczna, antypartyjne wystąpienie oszczerstwo...

— Słusznie! — krzyknął ktoś na sali, pewnie Kariew, ale Sasza postanowił nie zwracać uwagi na okrzyki.

Baulin postukał ołówkiem o biurko.

— Docent Azizjan w swoich wykładach nie

połączył część teoretyczną z praktyczną i tym samym pozbawił nas możliwości opanowania ważnych partii materiału — ciągnął Sasza.

Azizjan poderwał się z miejsca, ale Baulin powstrzymał go gestem.

— O gazetce. Przede wszystkim ja jako przewodniczący koła ponoszę pełną odpowiedzialność za przygotowanie tego numeru.

— Jaki szlachetny! — rozległy się okrzyki — Pozer!

— To właśnie ja powiedziałem, że artykuł wstępny jest niepotrzebny, ja zaproponowałem zamieszczenie epigramatów i sam napisałem jeden z nich. Koledzy mogli potraktować to jako polecenie.

— Polecenie? Od kogo je otrzymaliście? — spytał Baulin, nie spuszczać z Saszy uważnego wzroku.

W pierwszej chwili Sasza nie rozumiał pytania. Gdy wreszcie uchwycił jego sens, odpowiedział:

— Możecie zadawać mi wszystkie pytania, ale nie takie, które mnie obrażają. Jeszcze mnie nie usunęliście.

— Usunęli, nie bój się! — krzyknął ktoś na sali. Tym razem z całą pewnością Kariew.

— Dalej, Wstępniaka nie zamieściliśmy, bo nie chcieliśmy powtarzać tego samego, co i tak byłoby w gazecie Instytutu i biuletynie wydziału. Tam pracują bardziej wykwalifikowani dziennikarze...

— Wy, sądząc po wierszyku, jesteście nawet poeta — zażartował Baulin.

— Pisarzyna! — dobiegło z sali.

— Popelnilem błąd — kontynuował Sasza. — Artykuł trzeba było napisać. Teraz o epigramatach. W nich samych nie ma niczego nie-

się do kogoś o interwencję w swojej sprawie? — spytał Baulin.

— Nie.

Baulin popatrzył na Glińską, potem na Saszę.

— A do zastępcy komisarza ludowego, Budiagina?

— Nie.

— To dlaczego wstawał się za wami u dyrekcji Instytutu?

Sasza nie chciał wymieniać nazwiska Marka, ale nie było innego wyjścia.

— Opowiedziałem o wszystkim Riazanowowi, mojemu wujkowi, a on prawdopodobnie wspominał o tym Budiaginowi.

— Prawdopodobnie... — żartobliwie powtórzył Baulin. — Ale przecież Riazanow jest na Wschodzie?

— Był w Moskwie.

— Riazanow przypadkiem przyjeżdża do Moskwy, w przypadku opowiadacie mu o swojej sprawie, on przypadkiem powtarza to Budiaginowi, Budiagin przypadkiem dzwoni do Glińskiej... Nie za dużo tych przypadków. Pankratow? Czy nie byłoby uczciwie przyznać się i powiedzieć uczciwie: tak, szukałem protekcji?

— Powiedziałem jak było naprawdę.

— Wykreca się! Kłamstwa! Łgarz!

Do Kariewa dołączyło jeszcze kilku krzykaczy.

— Nie macie nic więcej do powiedzenia?

— Powiedziałem wszystko.

— Siadajcie.

Sasza wrócił na swoje miejsce.

— Kto chce zabrać głos? — spytał Baulin.

— Janson! Dawać Janson! Niech mówi Janson!

— Towarzyszu Baulin, przywołajcie do porządku tych dezorganizatorów. W takich warunkach nie można pracować.

Baulin uśmiechnął się.

— Pankratow zajął pozycję apolityczną, a co za tym idzie, mieszczańską — uparcie ciągnął dalej Janson.

— Mało! Mało! — krzyknął Kariew.

— Towarzysze, chwileczkę, dajcie dokończyć — zmarszczył brwi Janson. — Posłuchajcie...

— Nie ma co słuchać!

— Aby określić to wystąpienie jako antypartyjne, nazwać je polityczną dywersją, musimy doszukać się u Pankratowa umyślnego zamiaru. Dopiero po stwierdzeniu premedytacji.

— Nie kręć!

— O sobie mów, o swojej roli!

— A więc, czy Pankratow chciał zaszkodzić sprawie Partii? Uważam, że nie mamy tu do czynienia z działaniem świadomym...

— Ugodowiec! Gmatwa sprawę!

— Towarzyszu Janson — powiedział Baulin. — Macie mówić o własnej roli w tym co zaszło.

— Nie było tu żadnej mojej roli. Nie ja wywieszałem gazetkę, nie ja ją zatwierdzałem. Docent Azizjan zwrócił się do was, a nie do mnie.

— Dlaczego nie zdjęliście gazetki? — spytał Baulin.

— Pewnie wy zauważyliście ją wcześniej.

— A dlaczego to wy jej nie zauważyliście? Przecież mieliście do niej bliżej?

Janson wzruszył ramionami.

— Jeżeli ma to dla was znaczenie...

— Dość! Wystarczy!

Janson postąpił jeszcze chwilę, znów wzruszył ramionami i wrócił na swoje miejsce.

Baulin nie wchodził na trybunę, mówił zza stołu przydzielonego. Zdjął tylko marynarkę i powiesił ją na oparciu krzesła. Nie uśmiechał się już, rąbał urywkami krótkimi zdaniem:

— Pankratow liczył na bezkarność. Liczył na swoich wysoko postawionych protektorów. Był przekonany, że organizacja partyjna zlekcenie ich nazwiska. Ale dla organizacji partyjnej sprawa Partii, czystość linii Partii jest ważniejsza od nazwisk, od wszelkich autorytetów!

Zawiesił głos, pauza obliczona była na oklaski. W dwóch — trzech miejscach rozległy się nieskładne brawa; Baulin uśmiechnął się, że nie chce by mu przerywano, i ciągnął dalej:

— Wstyd patrzeć na komsomolców: Runoczkina, Pozdniakowa, Połóżan, Kowalewa. I to prawie już inżynierowie, radzieccy specjaliści! Oto jakich bezbłędnych, politycznie bezradnych ludzi wychował towarzysze Janson. To dlatego tak łatwo stali się zabawkami w rękach wroga klasowego. O to właśnie obwiniamy Jansona. To wy, Janson, przygotowaliście grunt dla takich Pankratowów... Nawet tutaj próbujecie go jeszcze bronić. I to jest zastanawiające. (...)

ANATOLIJ RYBAKOW

Dzieci Arbatu

(4)

słownego. Błąd polega na tym, że umieściliśmy je pod zdjęciami przodowników. To wypadło sens.

— Po co je napisaliście?

— Chcieliśmy, żeby z okazji święta było zabawnie, weselej...

— Wesoło wyszło, nie ma co — zgodził się Baulin.

Wszyscy roześmiali się.

— Jednakże — ciągnął dalej Sasza — oskarżenia o dywersję polityczną odrzucam kategorycznie.

— Powiedzcie, Pankratow, czy zwracaliście

Janson z gniewnym wyrazem twarzy wszedł na trybunę.

— Towarzysze, problem, który dziś tu rozpatrujemy, jest niezwykle ważny...

— To wiemy i bez ciebie! — krzyknął ktoś na sali.

— Należy jednak odróżniać obiektywne następstwa od subiektywnych pobudek...

— To to samo!

— Nie filozofuj!

— Nie, to nie to samo. Pozwólcie mi dopowiedzieć myśl do końca...

— Nie pozwolimy! Dość tego!

Znów wstał Siwierski.



„Jakoś się ułożyło”. Sasza odpowiadał wszystkim tak samo jak Jurze, nie chciał, żeby jakiegokolwiek echa sprawy dotarły do uszu mamy.

Decyzję Glińskiej wywieszono najazutrz po zebraniu egzekutywy. Sasza jako „organizator wystąpienia antypartyjnych” został usunięty z uczelni, Runoczkina, Połóżan i Pozdniakowa zatrzymani nagany, Kowalewa ukarano upomnieniem.

Machina poszła w ruch, wyszukiwano dokumenty, przygotowywano zaświadczenia, Łozgaczew, mianowany już dziekanem na miejsce Jansona, szybko i uprzedzająco grzecznie wydał Saszy indeks, jego gładka twarz zdawała się mówić: osobiście nie przeciwko tobie nie mam, tak się złożyły okoliczności, jeżeli przyjmą cię z powrotem będę bardzo rad.

Sasza pożegnał się z całą grupą, tylko Kowalewowi nie podał ręki.

— Gadów nie chce znać.

Runoczkina zgodził się z poglądem że Kowalew to gad, i że w ogóle wszyscy to gady. Nie bał się nikogo ten mały garbaty Runoczkina.

Rozległ się dzwonek. Korytarz opustoszał. Nikt nie miał już żadnej sprawy do Saszy. Dokumenty zabrane, pozostawało tylko podstępować i odejść.

Kriworuczka był jeszcze zastępcą dyrektora do spraw gospodarczych. Przybijając pieczęć powiedział półgłosem:

— Zawiadomienia za grudzień poszły już do administracji.

— Dziękuję — odpowiedział Sasza. Zawiadomienia wysyłano później, po prostu Kriworuczka chciał zdążyć wydać Saszy kartki żywnościowe. A mógł nie wydać.

Do końca grudnia mama o niczym się nie dowi. A przez ten czas na pewno przywrócą mu prawa studenta. (...)

Idąc do komitetu rejonowego Sasza był zupełnie spokojny. Oto Instancja, która odważyła rozstrzygnąć całą sprawę. Zebrania będzie prowadził pierwszy sekretarz Stolper.

Sasza długo siedział w korytarzu, czekając na wezwanie. Zza drzwi dołatywały urywki zdań i wystąpienia ale wszystkich zagłuszał, uciszał i powstrzymywał wysoki, ostry głos. Przestraszeni ludzie wybiegali z gabinetu, pędzili do szaf, chwytali teżki, zirytowany ostry głos śledził ich i ponaglał Saszy podobało się, że Stolper tak gania swoich urzędasów. Tak samo pogonił i Baulina, i tych wszystkich, którzy przykleili Saszy etykietkę wroga.

Drzwi uchyliły się.

— Pankratow!

Gabinet był zatłoczony, ludzie siedzieli wzdłuż ścian i za długim stołem, pokrytym zielonym sukniem. Stolper, chudy człowiek o złych, zmęczonych oczach obrzucił Saszę pochmurnym spojrzeniem i zwrócił się do Zajcewej:

— Referujcie! Tylko krótko.

Zajcewa głosem wzorowej uczennicy przedstawiła materiały sprawy. Gdy czytała epigramaty, ktoś roześmiał się. Epigramaty zabrzmiały idiotycznie. Następnie Zajcewa powiedziała, że fakty to należy rozpatrywać w kontekście całokształtu sprawy.

C.D.N.
Tłum.: MICHAŁ B. JAGIELLO

Polemiki • Listy • Opinie

SKĄD WYWODZI SIĘ NAZWA MIASTA ŁÓDŹ?

Już dawno zaniknął zwyczaj publikowania przez gazety listy osób, które przybywają do danego miasta. Publikowane są tylko informacje, gdy przybywają osoby oficjalne, szczególnie znani goście z kraju czy zagranicy. Tak więc przeszedł bez echa prywatny pobyt w naszym mieście dwóch adwokatów z Genewy (Szwajcaria): p. Marcia Bonnant — dziekana (le Bantonnier) adwokatury genewskiej i p. Philippe'a de Coulon, byłego dziekana tejże adwokatury. Pobyt ten miał miejsce w ostatnich dniach maja bieżącego roku, a okoliczności tak się ułożyły, że byłem tłumaczem w czasie tego pobytu, w czasie wizyt oficjalnych i prywatnych.

Rozmowy (te prywatne) jakie toczyłem z dwoma Szwajcarami dotyczyły wielu spraw dotyczących różnych, nieraz banalnych spraw. Oczywiście nie ominięta została nazwa naszego miasta „Łódź”. Przekazałem gościom to, co wiedziałem na ten temat, a szczególnie rzecz biorąc sprowadza się to do tego, że nie jest ostatecznie wyjaśnione pochodzenie nazwy miasta „Łódź”. Ku mojemu zaskoczeniu wzbudziło to zdumienie (sic!) dziekana de Coulon, który wyjaśnił mi, że jest udowodnione, iż nazwa miasta „Łódź” jest nazwą praceltycką i pochodzi od boga „Lug”. Obiecał mi po powrocie do Genewy przesłać fotokopie z książki na ten temat.

Słowa dotrzymał i przesłał mi obiecaną fotokopię. Otóż: autorem książki jest G. R. Wipf, książka wydana została w Chambéry (Francja, dawna stolica Sabaudii) w 1982 r. Tytuł książki: „Noms de lieux des pays franco-provencaux” (Nazwy miejscowości okolic francusko-prowansalskich). Faktycznie jednak książka prezentuje znacznie szersze ujęcie, gdyż przedstawia bardzo szczegółową analizę językoznawczą miejscowości Europy Zachodniej i Centralnej.

Rozdział XII książki posiada tytuł „Lug”. Była to nazwa bóstwa praceltyckiego. Słowo ma wiek co najmniej 2000 lat. Nazwa ta związana była z praceltyckim znaczeniem słowa „woda” i celtyckim znaczeniem słowa „wzgórze”. Nazwa „lug” podlegała wielu przekształceniom. Występuje na zachodzie od Portugalii (Lisboa = Lizbona), od Hiszpanii (np. Lugo), po Polskę (Łódź = Łódz, s. 308, Austrię (Laxenburg), Lozanna, Lucerna, Lugano w Szwajcarii pochodzą również od słowa „Lug”. We Francji najslawniejszym miastem, które nazwa pochodzi od słowa „Lug” jest Lyon (Lugdunum).

Jak już wspominałem powyżej, powiedziałem Szwajcarom, iż nie jest ostatecznie wyjaśnione pochodzenie nazwy naszego miasta. W książce „Łódź. Dzieje miasta”, tom pierwszy do 1918 r., Warszawa—Łódź 1980, redaktorzy tomu B. Baranowski, J. Fijałek, przedstawione są różne hipotezy skąd wzięła się ta nazwa. Nie są one nowe. Napisano „Kto ją złożył — (Łódź — L.S.) nigdy się nie dowiemy. Natomiast co do nazwy źródła historyczne zapewne nie nowego już nie wniosą, głos należy zatem oddać językoznawcom, którzy na ten temat nie wypowiedzieli dotąd ostatniego słowa” (s. 60).

Jak bowiem wiadomo, nazwa miasta nie pochodzi od nazwy rzeki, gdyż ta nazywała się pierwotnie „Ostroga” a nie „Łódka” (s. 59).

Rozważania p. Wipfa to głos językoznawcy. Być może wnosi on istotny element do wyjaśnienia problemu pochodzenia nazwy naszego miasta. Przecież, jak napisano w cytowanej książce: „Na przełomie średniego i późnego okresu lateńskiego na ziemię Polski środkowej i północnej zaczęły silnie oddziaływać wpływy celtyckie”. (s. 71), a tyczy to okresu do ok. 375 lat naszej ery.

Wyniki badań archeologicznych nad pradziejami obszaru Łodzi wskazują, iż największe skupisko stanowisk archeologicznych, reprezentujących różne okresy, występuje „w sąsiedztwie ujścia Bahutki do Łódki” (s. 72). — Wszystko więc może się zgadzać. Dawna Łódź, to „wzgórze” i „woda”. A więc...?

Gdyby hipoteza Wipfa została przyjęta, to mogłoby to oznaczać, iż Łódź jest najstarszą miejscowością w Polsce, starszą od Kalisza. Hipoteza udurowca, ale czy prawdziwa? Należy ją poważnie rozważyć.

Takie to nieoczekiwane następstwo przyniosła prywatna wizyta w naszym mieście dwóch adwokatów z Genewy. Mimo wszystko to ciekawe.

Dr hab. LESZEK SŁUGOCKI

DOM NA KASZUBACH

Piszę o pięknej książce. O kolejnej książce, która nie zasługuje na smutny los dokonania żywota na najwyższej księgarskiej półce, gdzie nie sposób dostrzec nawet tytułu. Myślę o trzecim już tomie wspomnień Anny Lajming zatytułowanym „Mój dom”, które wydało Wydawnictwo Morskie w 1986 roku.

Piękna to i mądra książka. Obdarza nas niemal doskonałymi obrazami literackiego, wspomnieniowego przekazu, jaki trudno dostrzec w zalewie nowych pozycji książkowych. Jest w niej życie jakie było naszą skomplikowaną rzeczywistością lat międzywojennych; świat polskiego podówczas skrawka Pomorza, gdzie klątwą wojny nadeszła wraz z rozlepanymi nieznaną „ką karteczkami „Mów po polsku, póki czas, bo za parę dni nie będzie was”; wreszcie obraz rosyjskiej emigracji w Polsce (do której należał mąż autorki), tragedii samotności i istnienia „ni-by swoich — niby obcych” mniejszości narodowych. Na prawie trzystu stronach autorka prosta, przejrzysta kreską rysuje portret Polski. Nie całej — małej jej części, ograniczonej granicami niewielkiego miasta — lecz jednak Polski. Polski dużej i Polski małej, gdzie wielka polityka i życie dwojga ludzi spotykają się przy wspólnym stole, który stoi w każdym domu i który stał w pokoju państwa Lajmingów.

Trudno nie poddać się świętości uczuć i wrażeń jakie odnajdziemy na kartach „Mojego domu”, szczególnie, gdy weźmiemy pod uwagę wiek pisarki (Anna Lajming urodziła się w 1904 roku). W jednym z wywiadów autorka „Od dziś do jutra” powiedziała:

„Może niektóre fakty są wyolbrzymione, może coś tam upiększyłam, wygładziłam, mogą nie zgadzać się jakieś drobności, coś mogłam niedokładnie zapamiętać, ale wszystko jest z życia i polega na prawdzie”.

„Wszystko jest z życia i polega na prawdzie” — słowa te mogą służyć za motto całej twórczości Anny Lajming. Począwszy od debiutu skoczkiem „Parzyn” (Parzyn to nazwa miejscowości na Kaszubach) w 1958 roku przez dramaty pisane dla świetlic i teatrów amatorskich na wsi, po opowiadania i wspomnienia.

„Mój dom” to pasjonująca opowieść o mieszkańcach arcygardy Gdańska-Tczewa. Dzieje miasta w czasie jednego dziesięciolecia, zamknięte ramami lat 1929 i 1939 przeplatają się z wydarzeniami wielkiej historii. Tczew staje się u Anny Lajming enklawa, gdzie najdrobniejsza ludzka radość bierze zawsze górę nad ogromem przechodzących obok, sprowadzonych do gazetowych ogólników, znaczących zdarzeń. Może jedynie wojna, owo zagrożenie przynoszone wiatrem z niemieckiej strony i tak dobrane znane Pomorzanom zostawia wyraźny ślad na ludzkich losach. Tczewianie rozumieją i doceniają powagę spraw dotyczących w tamtych czasach Polski, ale życie jest życiem, szarym, zwyczajnym „od dziś do jutra” jak mawiali Kaszubi i jak tytułowała swój zbiór opowiadań pisarka. Autorka patrzy na miasto swej młodości z pewnym zdziwieniem, a nawet zażenowaniem, gdy odkrywa mechanizmy ludzkich namilności i postępowań w drobnych na pozór zdarzeniach. Może na tym właśnie polega ta niesłychana świeżość i niemal pamiętnikar-

ska skrupulatność przedstawionych wypadków.

Dodatkowym walorem „Mojego domu” jest otwartość, nieczęsta dziś intymność wspomnień. Ta intymność, to gorzkie nieraz wyznanie najskrytszych nierzadko wspomnień człowieka, który sam decydował lub przynajmniej starał się decydować, o własnym losie.

Wszystko jest płynne, sprawy zaszębiają się, ludzi widzimy tak jak widziała autorka; bez zbędnych tłumaczeń i wnikania w motywacje i skutki ich działań, o ile nie miały one wpływu na życie pisarki. Ciekawym, jeśli nie najciekawszym elementem struktury „Mojego domu” jest gwara, którą Anna Lajming wprowadziła do niektórych dialogów. Nie ma tu mowy o jakiejś stylizacji. Mamy do czynienia z czystą gwara, która opatrzona jasnymi przypisami nie tylko nie utrudnia, ale wręcz staje się niezbędną dla klimatu, nastroju książki.

Książka wydana jest skromnie, ale starannie. Jedynym bodaj jej mankamentem, jaki udało mi się dostrzec jest nad wyraz skąpa nota o autorce dzieła. Jest Anna Lajming postacią niezwykle barwną i ciekawą. Debiutowała będąc ponad pięćdziesięcioletnią kobietą (w tym wieku rozpoczął swą pracę twórczą inny Kaszub, odznaczony m.in. Komandorią I klasy Orderu św. Grzegorza Wielkiego przyznana przez papieża Pawła VI, ceniony i znany autor powieści historycznych, rybak z Władysławowa — Augustyn Necel). Otrzymała wyróżnienie w konkursie „Głosu Koszalińskiego”. W tym samym roku (1958) ukazało się pierwsze opowiadanie „Smierć zebra”, które opublikowało na swych łamach legendarne już pismo „Koszalb”. Gdy w 1964 roku umarł mąż pani Anny pisarka zarzuciła swą pracę twórczą. O tym okresie powiedziała:

„O pisanie też przestałam myśleć. I chyba nie wróciłabym już do pisania, skoro przez kilka lat potrafiłam się bez tego obejść, gdyby pewnego dnia nie odwiedzili mnie Wojciech Kierowski z Edmundem Puzdrowskim (krytycy — przyp. mój). Dziwili się, że przestałam pisać”.

I tak pisarka wróciła do literatury. Obdarzona wieloma zasłużonymi honorami (ostatnio otrzymała z rąk prezesa Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego doc. Józefa Borzyszkowskiego dyplom honorowego członkostwa zrzeszenia), otoczona przyjaznymi jej twórczości ludźmi, mimo podeszłego wieku i szwankującego zdrowia tworzy dalej. Jest, jak każda Kaszubka, osobą pracowitą i skromną.

W jednym z listów do mnie, będącym odpowiedzią na pytanie o autorską ocenę i charakterystykę własnej twórczości, Pani Anna napisała:

„Czytelnicy uważają, że wszystkie moje utwory (...) kreślę w sposób przenikliwy, przejmujący i tchnący autentyzmem życia wsi kaszubskiej. Tego ja nie wiedziałam. Ale wiem, że piszę o tym co zauważyłam, co przeżywałam (...). O sobie nie umiem mówić”.

Mieszka pani Anna w Słupsku, gdzie znalazła dogodne warunki do swej pracy i gdzie powstała większość jej utworów. W tej chwili gotowa do druku jest pierwsza powieść pod tytułem „Czerwone róże”.

PIOTR A. STARON

WSPOMNIENIE O WŁADYSŁAWIE WALTERZE

4 czerwca 1987 roku minęła setna rocznica urodzin wybitnego aktora charakterystycznego i komika — Władysława Waltera, związanego po II wojnie światowej z teatrami łódzkimi, zmarłego w listopadzie 1959 roku.

Władysław Walter, a właściwie Walterajt — aktor o atletycznej budowie ciała i dużym temperamencie był człowiekiem bardzo uzdolnionym — studiował rzeźbę i rysunek, ukończył konserwatorium muzyczne. Jako aktor debiutował w 1906 roku w Rosji. Po pierwszej wojnie światowej występował w teatrach kabaretowych Warszawy, miał swoją kawiarnię „Cafe Walter”. Swoich występów nie zaprzestał w czasie II wojny światowej, działając w jawnych teatrzykach Warszawy. Był autorem wielu skeczów, monologów, felietonów prasowych, komponował pieśni.

Występował w wielu filmach — niemych i dźwiękowych, także po 1945 roku m. in. w filmie „Ulica Graniczna”.

Po II wojnie światowej, z krótką tylko przerwą, aż do końca życia występował w teatrach łódzkich: „Gong”, „Osa”, „Powszechnym” oraz najdłużej w Teatrze im. Jaracza, gdzie uroczystie obchodzono jubileusz jego 50-lecia pracy artystycznej. A wystąpił w ponad pięćdziesiąt latach komediowych, ale i dramatycznych także.

Za życia cieszył się dużą popularnością — dzisiaj jest zupełnie zapomniany. Nawet „Polskie Radio” nie przypomina w swoich audycjach tego aktora, który wielu pokoleniom widzów sprawiał dużą radość swoimi występami.

CZESŁAW ŻYLIŃSKI

A SPÓŁDZIELCA PŁACI...

Pismo krótkie, zwięzłe, suche i lakoniczne: „Zarząd Spółdzielni Mieszkaniowej „Chojny” informuje, że Rada Nadzorcza Spółdzielni na wniosek Zarządu i po konsultacji z Radami Osiedlowymi podjęła w dniu 14 maja 1987 roku Uchwałę o podwyższeniu opłat eksploatacyjnych za użytkowanie lokali mieszkalnych od 1 lipca 1987 roku”. Czytamy dalej, że wzrost czynszu motywuje się wzrostem cen za usługi komunalne świadczone na rzecz spółdzielni oraz wzrostem cen energii elektrycznej i materiałów.

W przeciągu ostatnich pięciu lat podobnej treści pismemka otrzymał członkowie spółdzielni aż czterokrotnie. Od 1983 roku za użytkowanie mieszkania typu M-3 z pierwotnie ustaloną ceną 1280 zł w tym roku cena wzrosła do 3.340 zł. Niebagatela. Co gorsze, uchwała podjęta w dniu 14 maja obowiązuje członków spółdzielni do uiszczenia opłaty za c.o. i e.c. za miesiąc: kwiecień, maj i czerwiec w kwocie 823 zł. Nie jestem pewien, czy podjęta uchwała może obejmować jakiegokolwiek rozszerzenia wsteczne i czy to jest zgodne z obowiązującymi przepisami prawnymi w tym zakresie prawa spółdzielczego?

Natomiast doskonale zdaję sobie sprawę, że koszty eksploatacji muszą wzrosnąć w miarę wzrostu cen za usługi i energię elektryczną. To oczywiste i zrozumiałe. Nie bardzo jednak rozumiem, dlaczego nie ma bodaj najmniejszej wzmianki, co do oszczędności uzyskanych z tytułu właściwej gospodarki zasobami mieszkaniowymi, ich eksploatacji. Na powyższe tematy, niezwykle bulwersujące mieszkańców osiedla nie ma bodaj najmniejszej wzmianki we wszystkich dotychczas strzyżonych pismach w sprawie czterokrotnych podwyżek czynszu.

Administracja spółdzielcza od tego czasu rozrosła się we wszystkich możliwych kierunkach, łącznie z usługami, własnym transportem, zapleczem technicznym et cetera. Ale zachodzi pytanie — jakie korzyści posiada z tego spółdzielnia oraz jej członkowie? Powszechnie bowiem wiadomo, że przeciętny członek spółdzielni nie może skorzystać z tych usług za godną opłatą, zawsze tam czegoś brakuje. Natomiast można skorzystać z usług po godzinach pracy, z tzw. fuchy. Po co i komu są potrzebne tego rodzaju usługi, które jedynie drenują niezbyt zasobną kasę spółdzielczą, utrzymując dość sporą grupę fachowców liczących na zarobki po fajrancie? Malowanie kłetek schodowych, sadzenie krzewów i sianie trawy nie należą do skomplikowanej czynności, za które przelewane są pieniądze z jednej kieszki do drugiej, a korzyści raczej problematyczne, o których w ogóle się nie wspomina. Czyżby nie było obniżki kos-

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie” publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

tów własnych? Jeśli tak, to po co utrzymywać nadal prowierczone usługi?

Nie sposób podliczyć, ile dotychczas wydano pieniędzy na róże i krzewy, które nie wzeszły, zabetonowane i zniszczone skrawki zieleni, zdewastowane urządzenia w suzarniach, piwnicach i pralniach, wybite szyby do drzwi wejściowych, (prowierczone zalatanych dyktą) niemal na całym osiedlu, zacieków mieszkań z powodu wadliwego pokrycia dachów itp., itd. Kto obliczy powstałe z tego tytułu straty? Wreszcie, kto odpowiada za powyższy stan rzeczy, widoczny gołym okiem bez uciekania się do ekspertyz rzeczoznawców i fachowców? Nie usłyszałem, by administracja osiedla egzekwowała należności od winnych zaniedbań i dewastacji urządzeń technicznych. To samo dotyczy wznoszących z roku na rok zaległości z opłatą za czynsz. W 1985 roku powyższe zaległości wynosiły — 111700 zł. Obecnie — 2590100 zł. Wzrost zaległości opiewa na półtora miliona złotych. To świadczy samo za siebie.

Wydaje mi się, że przede wszystkim należałoby szukać rezerw i oszczędności w należytym gospodarowaniu istniejącymi zasobami mieszkaniowymi, a później sięgać do kieszeni członków spółdzielni. Inaczej być nie może!

Nowo powołane struktury organizacyjne spółdzielni, wybudowane garaże i warsztaty, pomieszczenia biurowe i socjalne, urządzenia, przyrządowanie i sprzęt oraz zatrudnieni pracownicy w dobre reformy gospodarczej muszą wykazać się efektywnością, przydatnością wykonywanej pracy na co dzień. Liczą się bowiem efekty pracy i zarządzania, a nie zbiorokratyzowanie i formalizowanie struktur spółdzielczych, zmierzających do uzdrawiania własnej gospodarki kosztem przeciętnego członka spółdzielni. O ile nadal tak będzie, to w końcu może zabraknąć renty i emerytury na pokrycie samych świadczeń mieszkaniowych. Cztery poważne podwyżki czynszu w przeciągu pięciu lat świadczą o tym, że coś złego się dzieje w naszej spółdzielczości.

Potężna fala inflacji daje się we znaki nam wszystkim, lecz najciężej ucierpią na tym emeryci i renciści. Czy na to sobie zasłużyli przez szereg lat wycięzionej, mozolnej pracy?

JAN WIŚNIEWSKI

INFORMUJEMY O KONKURSACH

REGULAMIN KONKURSU NA WIERSZ O MAZOWSZU

Mazowieckie Towarzystwo Kultury ogłasza Ogólnopolski Konkurs Poetycki na utwory poetyckie poświęcone Mazowszu. Organizatorzy oczekują prac nawiązujących do bogatej historii i tradycji regionu, do twórczości naszych najwybitniejszych poetów, jak również utworów ukazujących Mazowsze współczesne z całym bogactwem dzisiejszej problematyki.

Forma nadsyłanych utworów jest dowolna, uzależniona wyłącznie od inwencji autora. W konkursie mogą brać udział wszyscy autorzy (zarówno członkowie związków twórczych jak i niezrzeszeni), którzy przesyłają swe prace w 5 egzemplarzach maszynopisu do dnia 15 września 1987 r. pod adresem: Mazowieckie Towarzystwo Kultury, ul. Chocimska 31 00-791 Warszawa.

Na konkurs należy nadsyłać nie więcej niż trzy utwory poetyckie. Oczekujemy wyłącznie tekstów oryginalnych, nigdzie dotąd nie publikowanych. Każda praca powinna być opatrzona godłem oraz zawierać zaklejoną kopertę z tym samym godłem, zawierającą imię, nazwisko i adres autora.

Organizatorzy konkursu przewidują następujące nagrody: I nagroda w wysokości — 30.000 złotych, dwie nagrody II po — 20.000 złotych, dwie nagrody III po — 15.000 złotych, oraz 5 wyróżnień po — 7.000 złotych. Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród.

KONKURS NA ESEJ ORAZ RECENZJĘ POETYCKĄ

Organizatorzy „Warszawskiej Jesieni Poezji '87” Oddział Warszawski Związku Literatów Polskich, Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Stołecznego Warszawy i Staromiejski Dom Kultury, ogłaszają konkurs na esej oraz recenzję poetycką.

Konkurs ma charakter otwarty. Celem konkursu jest ożywienie i zaniebanych gatunków krytycznych oraz zachęcenie młodych do podejmowania prac krytyczno-literackich.

Teksty w objętości: esej do 20, a recenzja do 5 stron normalizowanego maszynopisu w pięciu egzemplarzach, opatrzone godłem wraz z dołączoną kopertą zawierającą imię, nazwisko i dokładny adres zamieszkania autora oraz powtórzenie wybranego godła należy przesyłać pod adresem:

Biurowo Organizacyjne
Warszawskiej Jesieni Poezji

Rynek Starego Miasta 2, 00-272 Warszawa

z dopiskiem na kopercie „Konkurs na esej oraz recenzję poetycką”. Prace należy nadsyłać do 31 sierpnia 1987 r. (decyduje data stempla pocztowego).

Przewiduje się następujące nagrody:

za esej:
— główną w wysokości 25.000,— złotych,
— dwa wyróżnienia po 15.000,— złotych
— nagrodę specjalną za pracę o tematyce warszawskiej w wysokości 20.000,— złotych.

za recenzję:
— główną w wysokości 15.000,— złotych,
— trzy wyróżnienia po 10.000,— złotych.

Jury ma prawo inaczej podzielić nagrody oraz przyznać wyróżnienia honorowe.

Prace nadesłane na konkurs nie mogą być uprzednio publikowane. Nadesłane prace nie będą zwracane.

Rozwiązanie konkursu i ogłoszenie wyników nastąpi podczas „Warszawskiej Jesieni Poezji '87” w Domu Literatury w Warszawie, ul. Krakowskie Przedmieście 87/89 w dniu 24.IX.1987 o godz. 20.00.

KONKURS JEDNEGO WIERSZA

Organizatorzy „Warszawskiej Jesieni Poezji '87”: Oddział Warszawski Związku Literatów Polskich, Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Stołecznego Warszawy i Staromiejski Dom Kultury, ogłaszają konkurs poetycki dla autorów nieprofesjonalnych.

Jeden niepublikowany dotychczas wiersz w pięciu egzemplarzach maszynopisu, opatrzone godłem wraz z dołączoną do niego zabezpieczoną i oznaczoną tym samym godłem kopertą zawierającą imię, nazwisko i dokładny adres zamieszkania autora oraz powtórzenie wybranego godła należy przysłać pod adresem:

Biurowo Organizacyjne
Warszawskiej Jesieni Poezji

Rynek Starego Miasta 2

00-272 Warszawa

z dopiskiem na kopercie „Konkurs jednego wiersza”.

Prace należy nadsyłać do 31 sierpnia 1987 r. (decyduje data stempla pocztowego).

Przewiduje się następujące nagrody:
— główną w wysokości 15.000,— złotych,
— sześć wyróżnień po 7.500,— złotych
— nagrodę specjalną za wiersz o Warszawie w wysokości 10.000,— złotych.

Jury konkursu ma prawo inaczej podzielić nagrody oraz przyznać wyróżnienia honorowe.

Nadesłane wiersze nie będą zwracane.

Rozwiązanie konkursu i ogłoszenie wyników nastąpi podczas „Warszawskiej Jesieni Poezji '87” w Domu Literatury w Warszawie, ul. Krakowskie Przedmieście 87/89 w dniu 24.IX.1987 o godzinie 20.00.

Co to znaczy, być honorowym prezesem? — Nie wiem. Nigdy jeszcze nie byłem. Pierwszy raz mi się to zdarzyło. Nie zastanawiałem się jeszcze nad tym. Jest to chyba uznanie za 19 lat pracy w RTS Widzew.

— Czy musiała być „wymiana kadry” w zarządzie Widzewa?

— Nie wszyscy „starzy” odeszli. Zmieniły się warunki, zmieniły się czasy. Rok 1986 zamknęliśmy równowagą finansową. To było duże osiągnięcie, bo przecież trzeba pamiętać, że wydatki klubowe zwiększają się co roku około 30 procent z powodu rosnących cen. A wpływy maleją. Otóż obliczyliśmy, że pod koniec 1987 roku może zabraknąć w kasie klubu blisko 50 milionów złotych. Skąd te pieniądze trzeba będzie wziąć. Tak powstał pomysł, aby przez „wymianę kadry” — jak pani to powiedziała — wzmocnić zarząd o ludzi, którzy z racji swoich funkcji zawodowych będą mogli pomóc klubowi. Na Widzewie jest kilka dużych fabryk, jak „Ena Elester”, WZPB i Maja, „Wifama”, Zakłady „Próchnika” i dyrektorzy z tych fabryk wzmocnili zarząd RTS Widzew.

— A nie można tego było tak zrobić, aby i zarząd wzmocnić i sprawdzić ludzi nie musiał z niego odejść? Bo się o tym różnie w Łodzi mówiło.

— Nie wiem, co się mówiło. Natomiast wiem, że niektórzy działacze musieli odejść bądź z powodów osobistych, bądź zawodowych. Natomiast, jeśli chodzi o mnie, to nie ma tu żadnych podtekstów. Już wcześniej mówiłem, że odejść Myślałem ze staniem się w grudniu 1986 roku, ale postanowiłem wytrwać do końca kadencji. Jestem w Widzewie od 19 lat, to duży szmat czasu. Wiele przez ten czas przeżyłem. Czuję się już zmęczony. Gdybym postanowił jeszcze zostać, to musiałbym zdecydować się na dalsze 4 lata, a byłoby to trochę ponad moje siły.

— A nie było żadnych kontrowersji w sprawie koncepcji klubu?

— W każdej nawet najlepszej rodzinie zdarzają się nieporozumienia i różnice zdań. Nie ukrywam, że i w RTS Widzew było podobnie.

— Chodziło o pańską koncepcję klubu jednosekcijnego, ściślej mówiąc o koncepcję klubu piłkarskiego.

— I o to też. Powody różniły się, ale były różne. Ale to normalne.

— Dlaczego pan uważa — a nie jest pan w tym osamotniony — że powinni być kluby czysto piłkarskie, a nie wielosekcyjne?

— Powód jest prosty: ekonomiczny. Taki klub jest zawsze tańszy. I drugi powód: praktyka. Tak dzieje się w wielu krajach na Zachodzie, ale i na przykład w NRD. Tak już zaczęli myśleć także w ZSRR. I praktyka pokazuje, że to jedyna droga.

— Jakże są powody ekonomiczne?

— Dla obsługi jednej sekcji wystarczy 5 pracowników umysłowych. Czyż można się dziwić piłkarzom, którzy zarabiają pieniądze na utrzymanie klubu, gdy widzą, że te pieniądze pochłania utrzymanie nadmiernej rozbudowanej administracji oraz sekcji, z których klub nie ma większego pożytku? Ja się im nie dziwię. Z drugiej strony natomiast, zawodnicy innych sekcji zazdroszczą piłkarzom wielkich pieniędzy.

— Dziwi się im pan? Czyżby nie mieli powodów?

— Trochę się dziwię, bo to wcale nie jest tak, jak się ludziom wydaje. A przynajmniej nie wszędzie jest tak. Wysokość stypendiów ustalono na 19 tysięcy złotych. To dość duże pieniądze. Dlatego niektóre kluby odeszły już od stypendiów i wzięły zawodników na fikcyjne etaty. Są to etaty, których wysokość ze trzy razy przekracza średnie płace w przemyśle lekkim. GKKFIT ustalił wielkość stypendiów dość dawno, nie zrewaloryzował ich, a na dodatek ustalił ilość tych stypendiów na 18 zawodników. A powinno ich być o 10 więcej.

— Co to by dało klubowi?

— Klubowi wielosekcijnemu wcale to nie daje. Natomiast klubowi piłkarskiemu, który sam się utrzymuje, daje to bardzo dużo. Przede wszystkim może on płacić piłkarzom tyle, na ile starczy mu finansów. Wszystkie bowiem operacje finansowe idą przez księgowość i to nie ma żadnych „lewych” rozliczeń. Wszystko jest w zasięgu każdej kontroli. Gdy mam



Foto: Grzegorz Galasiński

KONTYNUUJEMY CYKL ARTYKUŁÓW O POLSKIEJ PIŁCE NOŻNEJ. W szóstej kolejnej publikacji przedstawiamy argumenty przemawiające za wyższością klubu piłkarskiego nad klubami wielosekcyjnymi oraz zastanawiamy się nad przyszłością RTS Widzew.

Widzew piłką nożną stoi

Rozmowa z LUDWIKIEM SOBOLEWSKIM — honorowym prezesem RTS Widzew, wieloletnim byłym prezesem tego klubu sportowego.

28 piłkarzy w pierwszej drużynie, to każdy z nich wie, że jeśli coś zrobi nie tak, jeśli nie będzie pasował do drużyny, to może z dnia na dzień rozstać się z klubem i nawet jego sława nie pomoże. A tak klub ma 18 piłkarzy w pierwszym zespole i musi im ulegać, bo jak któregoś zwolni, to szybko nikogo na jego miejsce może nie znaleźć.

— I sądzi pan, że taki klub — powiedzmy — zawodowy będzie w stanie sam się utrzymać?

— Tak, to będzie klub zawodowy, z tą tylko różnicą, że nie na wzór zachodni, bo ten wzór musimy sobie sami wypracować. I wcale sam się nie musi utrzymywać. Sponsorzy są konieczni. Ale powinni to być inni sponsorzy. Nie tacy narzuceni z góry, niejako z rozdzielnika. To powinni być sponsorzy, którym opłaca się — nie w sensie finansowym — opiekowanie się i utrzymywanie takiego klubu. I wierzę, że tacy sponsorzy znajdą się.

— Co by pan zrobił z pozostałymi sekcjami?

— Trzeba je przekazać tym klubom, które nie mają sekcji piłki nożnej i są finansowane przez państwo.

— A młodzież? Kto będzie się zajmował przygotowaniem młodzieży dla klubów piłkarskich?

— Te same kluby. Proszę mi wierzyć, że problem młodzieży piłkarskiej leży wcale nie w mitycznej niechęci do jej kształcenia. Problem leży w czym innym. Po pierwsze — to nie ma kto jej kształcić. Który z dobrych trenerów zgodzi się kształcić młodych piłkarzy za 20 tysięcy złotych miesięcznie? Więc oni na ogół wpadają „na pół etatu”, aby trochę popracować i skutki są nijakie. Klub piłkarski musiałby im płacić — powiedzmy — po 40 tysięcy złotych i mógłby wówczas wymagać. To musiałoby dać skutki.

— Po drugie — problem — w moim przekonaniu — leży w tym, że młodzi piłkarze nie bardzo widzą dla siebie szansę. Przed wojną rezerwy I ligi miały własne rozgrywki. Zaspokajało to ambicje. Dziś te drużyny grają najwyżej w III lidze i nie ma żadnych szans na to, aby awansowały choćby do II ligi, a już marzenia o I lidze są absurdalne. Coś z tym trzeba zrobić. Wtedy byłaby i ambicja do gry i młody piłkarz przykładałby się do szkolenia, bo wiedział, że jak się pokaże na boisku z dobrej strony, to i awans będzie szybszy.

W klubie daliśmy szansę wychowankom. Próbowano w I zespole Płocha, Romańskiego, Mierzińskiego i Pawłaka, ale bez dobrych rezultatów. Nie sprostał wymaganiom. A przecież klub ma warunki do szkolenia: Zbigniew Tądera i Ryszard Polak, dobrze spisali się juniorzy i zespół rezerw w swoich grupach. A mimo to nie udało się wychować piłkarzy dla I zespołu. I potrzeba będzie dla jego wzmocnienia przeprowadzić 2 lub 3 dobre transfery.

— A jak pan — wieloletni działacz piłkarski — widzi najbliższą przyszłość drużyny RTS Widzew w I lidze?

— Nie chciałbym prorokować. Nie nadaję się do tego. Mogę tylko powiedzieć jedną, być może brutalną, prawdę. Otóż RTS Widzew piłką nożną stoi. Jeśli w klubie padnie piłka nożna, to i klub padnie, stanie się prowincjonalnym, dzielnicowym klubem, który nie będzie odgrywał żadnej roli nawet w Łodzi. I aby do tego nie dopuścić, trzeba odrzucić wszelkie sentymenty. Trzeba trzymać się realiów. A jakie one są, już mówiłem.

— Trudno się z panem nie zgodzić, ale warunki startu do walki o utrzymanie pozycji Widzewa w polskiej piłce nożnej nie są zbyt optymistyczne. Drużyna zajęła szóste miejsce i straciła możliwość grania w europejskich pucharach.

— Patrząc na to inaczej. Ta sytuacja ma kilka aspektów. Uważam, że dobrze się stało, że drużyna nie będzie grała w pucharach europejskich. Dla tego zespołu byłoby to jeszcze za wcześnie. Do gry w europejskich pucharach trzeba zespół zupełnie inaczej przygotować. Na to trzeba czasu i cierpliwości. Proszę pamiętać, że w rozgrywkach pucharowych nie odniosły sukcesów tak dobre zespoły jak: Śląsk Wrocław, Górnik Zabrze, GKS Katowice, Lech Poznań, Pogoń Szczecin, Legia. Widzew zanotował w tych rozgrywkach szereg cennych sukcesów. Jeśli uda się odbudować wielki Widzew, to i przjdą sukcesy w rozgrywkach pucharowych. Ale — powtarzam — potrzeba na to cierpliwości, czasu, pracy.

— No i odejścia od starej, nieprzydatnej już struktury.

— To jest warunek odbudowy wielkiego Widzewa. Tego Widzewa, który jest już w I lidze 12 lat i przez ten czas zdobył 2 razy tytuł mistrza Polski, 5 razy tytuł wicemistrza, Puchar Polski, 2 razy zajmował trzecie miejsce, dwukrotnie zwyciężał w Intertoto. Przez te 12 lat raz zajął piąte miejsce,

raz — dziesiąte i teraz — szóste.

Te fakty jednak mało powiedziane, jeśli nie porównamy ich z sytuacją mistrzów naszej I ligi. Oto mistrz z 1976 roku — Stal Mielec raz już była w II lidze i teraz znów spadła do II ligi. Śląsk Wrocław — mistrz Polski z 1977 roku — teraz dopiero powrócił do czołówek tabeli i zdobył Puchar Polski. Mistrz Polski z 1978 roku — Wisła Kraków i z 1980 roku — Szombierki Bytom grają w drugiej lidze. Mistrz Polski z 1979 roku Ruch Chorzów spadł właśnie do II ligi.

Tak dzieje się nie tylko u nas. Nie wszyscy zapewne wiedzą, że na przykład Manchester City, St. Etienne czy Ipswich Town grają w II lidze.

Nikt bowiem nie ma monopolu na ciągłość sukcesów w sporcie, a już w piłce nożnej w szczególności.

No i jeszcze jeden fakt, który często uchodził uwagi ludzi oceniających sytuację w drużynie piłkarskiej RTS Widzew. To już po raz czwarty wymieniał się skład tej drużyny. Nie będę przypominał wszystkich, którzy odeszli od nas, ale przypomnę jedynie, że dwu piłkarzy RTS Widzew: Zbigniew Boniek i Józef Młynarczyk grali lub grają w drużynach, które zdobyły europejskie Puchary. To coś znaczy. Te transfery opłacił się nam nie tylko finansowo.

— Ale byli i transfery ehybione. Przypomnij pan chyba?

— Przypomnij. Nie ma czego ukrywać. Chodzi o Dariusza Dziekanowskiego i Jerzego Wiljasa. Nie wszystko zależało tylko od nas — to tak na marginesie. Ale — powiem panu uczciwie — dziś nie żałuję, że oboj nie są w Widzewie. Nie pasowali do Widzewa.

Natomiast, co do transferu Dariusza Dziekanowskiego, to po pierwsze — nie był to ten Dziekanowski, na którego chcieliśmy postawić. Zbigniew Boniek też miał tyle samo lat, gdy przyszedł do Widzewa, ale jakże się tutaj rozwinął. Myślę, że w sprawie Dariusza Dziekanowskiego sporo winy powinni wziąć na siebie dziennikarze, którzy go zbyt wcześnie okrzyknęli asem, gwiazdą czy kim tam kto jeszcze chciał. To utalentowany piłkarz, ale czy wystarczy mu charakteru na tyle, aby ten talent rozwinąć? I czy nie jest już na to zbyt późno?

Inna strona tej sprawy, to wielkość transferu, którą ujawniliśmy, co za nie miała nam cała sportowa Polska. Mieliśmy w klubie po 5 lub 6 kontroli rocznie, ale wszystko było przeprowadzone legalnie i przez

księgowość. Do niczego nie mogli się przyczepić. Wyznawalem taką zasadę, że jeśli chce się mieć dobrą drużynę, to trzeba brać do niej najlepszych piłkarzy, takich jacy są i trzeba zgodzić się z przepisami płacić tyle, ile trzeba, aby inni ich nie wzięli. To cała tajemnica. Ale dziś na to może sobie pozwolić tylko taki klub, który ma wyłącznie piłkarski charakter. Zresztą kiedyś myśmy ujawnili owe 21 milionów złotych za Dariusza Dziekanowskiego, to było to jedyną odkrywkę kart, a przecież nie był to wcale jedyny tak wysoki transfer.

— Czy nie raz pan fakt, że piłka nożna nie może się obyć bez dużych pieniędzy?

— A co dziś może się obyć bez pieniędzy? Taki mamy czas, że musimy wszystko zaczynać od liczenia kasy. Nie ma pieniędzy, to kończymy działalność, albo jej nie rozpoczynamy. Zarzy już się skończyły.

— Ale ja myślę nie tylko o legalnym finansowaniu działalności, ale też i o tym, co teraz się jakby ujawniło, owo kupowanie meczów, sędziów, rozstrzyganie zawodów przez pieniądze.

— Widzew nie brał w tym udziału. Gdybyśmy chcieli kupować mecz, to moglibyśmy być mistrzami Polski więcej niż 2 razy.

Nielegalne transakcje, afery i temu podobne rzeczy zdarzają się wszędzie tam, gdzie są możliwości, aby w nielegalny sposób zdobyć pieniądze. Przecież różne cuda dzieją się nie tylko w Polsce, dzieją się we Włoszech, Jugosławii, na Węgrzech, w Rumunii, Czechosłowacji, Bułgarii. A czy afery nie zdarzają się w przedsiębiorstwach i to na całym świecie? Czy z tego powodu trzeba wszystko przekreślać?

— Jak pan ocenia ostatnie pociągnięcia PZPN? Widzewowi też pogroźono.

— I zupełnie nie wiem, dlaczego? Poza meczem ze Stalą Mielec wszystkie mecze ze snadkowiczami wygraliśmy. To dla mnie zagadka.

A jak oceniam pociągnięcia PZPN? Jak się nie ma konkretnych dowodów, jak się nikogo nie złapało za rękę, to trudno i o zdecydowane pociągnięcia. Półśrodkami niczego się natomiast nie zławia. Takie odbieranie punktów i branie pod koniec rozgrywek niczego nie rozwiązuje. To już byłbym za tym, aby działać tak, jak to zrobili w Jugosławii. Zabrali „podejrzanych” drużynom po 6-8 punktów z następnego sezonu. To ich zmusza do ostrej i dobrej gry od

początku i pokazuje, na co ich naprawdę stać. A w naszych działaniach jest dużo niekonsekwencji.

— Piłkarze natomiast nadal patrzają, gdzie tu można jak najwięcej zarobić.

— I wcale im się nie dziwię. Kariera trwa krótko, trzeba się na przyszłość zabezpieczyć. A poza tym są to aktorzy widowisk, które ludzi bawią. Za to też trzeba płacić.

— Tylko, że za takie pieniądze — duże czy małe, to już inna sprawa — trzeba czegoś wymagać. A tu często obserwujemy się po prostu brak umiejętności.

— Może to nie zawsze jest brak umiejętności. Często to wynik braku kondycji.

— Skąd się bierze ten brak?

— Z niesportowego trybu życia — jak to się pięknie mówi, a chodzi po prostu o bale, popijawy i dziewczynki. Gdy przychodzi brak kondycji, to i najlepsze umiejętności nie pomogą, wyłażą niczym sztydo z worka wszelkie wady w wyszkoleniu, powstają kontuzje. Niesportowy tryb życia łamie po prostu proces przygotowania.

— Jest na to jakiś sposób?

— Sądzę, że tak. Zresztą już o tym mówiłem. Gdyby w klubie było przyzwyczajenie — zgodzić się z przepisami i możliwościami klubu — opłacanych 28 zawodników, to taki młodzieniec, kiedy w nieodpowiednim czasie popije sobie, zostanie zgłoszony na listę transferów i koniec z nim. Ani on, ani nikt inny nie ma nic do gadania, bo to wynika z umowy o pracę. Mam prawo sądzić, że w takich warunkach byłoby o 80 procent kłopotów mniej.

— Czy trochę pan tych młodych nie usprawiedliwia?

— Nie. Tylko rozumiem realia. Piłkarze — może to się nawet komuś nie podobać, ale tak jest — żyją w nieustannym stresie, napięciu. Przecież czasem z kopnięciem piłki w ostatnich sekundach meczu może zdecydować o jego niekorzystnym dla drużyny wyniku. Człowiek ma więc prawo do jakiegoś rozładowania tych napięć. I nie rozdzieralbym szat, gdyby taki młody człowiek wypił kieliszek wódki na imieninach.

Widzi pani, Zbyszek Boniek brał nieraz drużynie i siedział z nimi na piwo. Ale on wiedział, kiedy to zrobić i kiedy skończyć. Bywało tak, że Zbyszek potrafił całą noc chodzić na balu z jednym kieliszkiem wódki. Albo Roman Wójcicki. Bardziej rzadko kiedy wyopił jedno piwo. Trzeba wiedzieć, ile, kiedy i dlaczego. Takich zawodników jest wielu. Inni nie mają umiaru. I to że o nich świadczą, bo szkodzi całej drużynie, która musi z takim zawodnikiem — albo i zawodnikami — gorzej grać. Trzeba więc tworzyć takie warunki, aby sam zawodnik musiał się trzymać w ryzach, aby wiedział, co mu grozi. Czas skończyć z sentymentami.

— Co przeskądza, aby takie warunki powstały?

— Już mówiłem. Stare struktury, które powstały w innych czasach i innym służyły celom.

— Tak, ale jest przecież PZPN, jest GKKFIT. One powinny być zainteresowane w zmianie tych struktur.

— Pracowałem w wielu komisjach PZPN. Znam to od podszewki. Nasze argumenty, zmierzające do wprowadzenia różnych zmian, nie były brane pod uwagę. GKKFIT ma inne spojrzenie na sprawę polskiej piłki nożnej, a PZPN nie jest w stanie opracować nowej formy finansowania klubów, aby nadać ich działaniu określone ramy, ale nie kępować ich swobody.

— Teraz, kiedy ma pan dużo wolnego czasu, nie ciągnie pana do piłki nożnej?

— Przecież nie przestałem się nią interesować. Nie muszę jednak martwić się o kilka spraw naraz, co zawsze szarpie człowieka nerwy.

— Zycze zatem dużo zdrowia, czasu na różne przemyślenia, no i realizacji pana pomysłów. I żeby Widzew nam nie podupadł!

— Dziękuję. Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

Rozmawiała: BOGDA MADEJ

Ma na imię Carmen, płomienne oczy, w zębach — goździk, roztańczone biodra i flamenco we krwi, jest ognista i mściwa. Taki jest utrwalaony w powszechnej wyobraźni obraz Hiszpanki, znany z oper i filmów. Jej odwiecznym przeciwnikiem jest Don Juan, zdobywca, super Macho, uosobienie męskiej siły i okrucieństwa. Carmen i Don Juan — typowa hiszpańska para: ona wabi i odpycha, on zawsze w końcu jest górą; kobieta uwodzi — męczyzna panuje. Taki jest mit, hiszpańska rzeczywistość wygląda dziś inaczej:

W wielkich miastach, jak Madryt i Barcelona, młode kobiety ubierają się w dżinsy i nie noszą staników, mała na ulicy, jak mężczyźni, piją whisky i kapiają się w stroju topless. Natomiast hiszpańscy mężczyźni pozostali tacy sami, jak dawniej, epatują owłosioną pierś, aksamitnym spojrzeniem i pełnym żaru głosem.

Piętnaście wieków katolicyzmu, siedem wieków wpływów arabskich, a do tego jeszcze 40 lat dyktatury frankistowskiej podporządkowały całkowicie hiszpańską kobietę mężczyźnie, jako narzędzie jego rozkoszy, jako matkę „jego” dzieci. Przez całe stulecie była ona pozbawiona własnej osobowości i praktycznie nie miała żadnych praw.

W ciągu ostatnich dziesięcioleci kobieta hiszpańska zdołała odrobić wiele zaległości spośród tego, co bojowniczką o prawa kobiet w reszcie Europy i w Ameryce zdobyły od początku XX wieku. W Międzynarodowym Roku Kobiet — 1975, na sześć miesięcy przed śmiercią Franco, zniesiono wreszcie formalnie prawną dyskryminację kobiety. Od tamtej pory Hiszpanka może pójść do pracy, bez konieczności uzyskania zgody męża, może także sama inkasować swój zarobek, może dysponować własnym kontem, a także posiadać własny paszport. Nowa demokratyczna konstytucja z 1978 r. gwarantuje wreszcie kobietom równouprawnienie.

Kiedy w końcu lat sześćdziesiątych w Hiszpanii rozpoczął się okres rozwoju gospodarczego, półtora miliona kobiet zdecydowało się po raz pierwszy pójść do pracy poza domem. Dziś stanowią one 30 proc. pracującej ludności, zaś wśród studiujecej młodzieży jest ich aż 47 proc.

Przeciętna kobieta pracująca zawodowo jest nawet lepiej wykształcona niż jej kolega — mężczyzna, chociaż z reguły zarabia mniej i rzadziej piastuje odpowiedzialną funkcję. Za czasów Franco kobieta nie mogła zostać ani sędzią, ani urzędnikiem finansowym, ani dyplomata. Obecnie kobiety w Hiszpanii zajmują już 14 proc. wysokich stanowisk w administracji państwowej. Nie tak dawno pierwszą kobietą mianowano ambasadorką.

W DZISIEJSZEJ HISZPANII

Jest już więcej niż pół miliona kobiet, które prowadzą własne, choćby małe przedsiębiorstwa. Założyły one związek, którego prezeską 38-letnia Lina Valles, właścicielka firmy, świadczącej usługi informatyczne, jest wręcz klasycznym przykładem nowoczesnej Hiszpanki.

Kiedyś mimo ukończonych studiów informatycznych i mimo praktyki zawodowej w IBM, po wyjściu za mąż nie mogła znaleźć pracy, otworzyła w 1977 roku własne biuro i przebiła się.

— Kiedy wdzierasz się do świata mężczyzn, spotkasz się ze straszną nieufnością — mówi. — Musiałam codziennie udowodniać, że umiem tyle samo co mężczyzna.

Jednego ze swych najważniejszych klientów Lina Valles zdobyła dzięki dowcipnemu chwytowi:

— Włożyłam ubranie mojego męża, zawiązałam na szyi jeden z jego krawatów i powiedziałam klientowi: niech pan wreszcie przestanie patrzeć na mnie jak na kobietę!

Przerwijąc pracę zawodową urodziła troje dzieci. Wpada w furję, gdy zapyta ją, czy kobiety dla kariery zawodowej nie powinny zrezygnować z dzieci.

— Dlaczego nikt nie zapyta o to mężczyzn?!

Dzielną opiekę nad dziećmi ma Lina Valles. Wzrostają i dawniej w „lepszych” rodzinach hiszpańskich: kobieta miała się podobać mężowi, pełnić u jego boku obowiązki reprezentacyjne. Wychowanie dzieci powierzano służbie. Dlatego pracujące zawodowo kobiety, jak Lina Valles nie muszą się specjalnie tłumaczyć, kiedy nie zajmują się dziećmi osobiście. Mąż Liny, dyrektor w koncernie elektronicznym, wypiera jej ambicje.

— Dobrze wie, że ja bym w domu nie wytrzymałam — mówi Lina.

Chociaż tego typu kariery należą jeszcze do rzadkości, to jednak względna niezależność, uzyskana dzięki pracy zawodowej zmieniła w sposób zasadniczy styl życia hiszpańskich kobiet. Wyraźnie wrosła ich opinia o nienaruszalnej dotychczas władzy mężczyzn. Coraz więcej kobiet odważa się zaskarżyć swojego męża, jeśli maltretuje ją i dzieci, albo porzucił go, jeśli się czują nieszczyśliwe w małżeństwie.

W listopadzie 1985 r. w Barcelonie odbył się zjazd kobiet, w którym wzięło udział ponad 4 tys. uczestniczek. Impreza zakończyła się skandalem: przeprowadzono dwa nielegalne zabiegi przerwania ciąży, których przebieg został sfilmowany, a następnie odtworzony publicznie na wszystkich w telewizji. Kiedy interweniowała prokuratura, wszystkie uczestniczki zjazdu zgłosiły się jako „winne”, aby w ten sposób zaprotestować przeciwko odmawianiu kobiecie prawa do przerwania ciąży.

Nie ulega wątpliwości: kobiety w Hiszpanii zdobyły już sobie pewne określone miejsce w społeczeństwie i zaczynają pod tym względem upodabniać się do kobiet w innych krajach europejskich. A jednak tradycja w Hiszpanii jest wyjątkowo niemiłosierna. Emancypacja pozostaje domeną nielicznych. Stopień swobody, z jakiej korzysta kobieta, zależy od tego, czy mieszka ona w awangardowym Madrycie, czy na wsi, np. w będącej rajem mężczyzn Andaluzji.

— Hiszpania jest krajem pozorów — mówi Maria Eugenia Alberti, redaktor naczelny czasopiśmie hiszpańskiego pisma kobiecego „Dunia”. — Przywołaliśmy sobie McDonalda i muzykę pop, ale nasza dusza tkwi w zabitej desce Kastylii. Kobiety mają wciąż tylko trzy tematy: Boga, rodzinę i własność małżeńską.

Bogu poświęca się dziś jeszcze około 15 tys. zakonnic, które wiodą w ponad 900 klasztorach życie pełne pracy i umartwień. W ciągu ostatnich 20 lat likwidacji uległo tylko 16 klasztorów. Co roku do zakonów wstępuje 300 nowicjuszek, przeważnie w wieku 17 lat, aby na całe życie wyrzec się ziemskiej miłości w imię wiecznego szczęścia po śmierci. Przez pięć godzin dziennie oddają się one modlitwom, przez dalszych pięć lub sześć — pracują na skromne utrzymanie. Ostatnio ta godna zaufania i tania siła robocza została odkryta przez banki. W klasztorze Klarysek w Madrycie 27 zakonnic zajmuje się rozliczaniem kart kredytowych dla jednego z wielkich stołecznych banków. Pracują przy nowoczesniejszych komputerach, na które nakleily obrazki z Matką Boską.

W normalnej rodzinie hiszpańskiej tradycyjny podział zadań pozostaje wciąż nienaruszony. Prowadzenie domu i wychowanie dzieci są z reguły nadal sprawą kobiety. Hiszpańscy mężczyźni bowiem są szczególnie uporem bronią się przed dobrowolną rezygnacją z męskich przywilejów.

Nawet młodzi intelektualiści, którzy lubią mówić o sobie, że są „większymi feministami niż kobiety”, twierdzą, że

CZUJĄ PRZEMOŻNY WSTRĘT DO PRAC DOMOWYCH,

zbyt często wstydzą się swych ojców, że „robota tylko dla pędzłów”. Ich towarzyszy natomiast „reguły nie podnoszą głosu i nie sprzeciwiają się temu.



Mężczyźni długo dominowali w Hiszpanii. Teraz muszą bronić przywilejów. Kobiety nie chcą zajmować się tylko domem. Dziewictwo przestaje być najwyższą wartością. Mężowie są lepszymi kochankami.

Hiszpanki podnoszą głowę

Na przemysłowym przedmieściu Madrytu, Coslada, mieszka 30-letnia Margarita, od 15 lat zamężna, matka dwojga dzieci w wieku szkolnym. Podobnie jak wszystkie jej koleżanki, do momentu urodzenia najstarszej córki pracowała w supermarkecie, potem jednak rzuciła ją, mając mało satysfakcji i niską płacę.

— Przedzkoję pochłonęłoby mój cały zarobek — mówi. — Zresztą mąż woli, żebym była w domu.

Margarita ma więc cały dzień czas na ścieranie najdroższych pyłków z mebli, obłożonych serweteczkami, z paradnych lalek, siedzących na kanapie, aby wieczorem umalowana i utrzymywana czekała na pana i władcę. Czy pragnie samorealizacji? Mąż przynosił do domu pieniądze, ona może zawsze iść do banku — to jest jej wolność. 14-letnia córka Margarity nie zamierza w ogóle wychodzić za mąż, nie chce stać tylko sprzątaczką i być posłuszną mężczyźnie.

Tak więc emancypacja hiszpańskiej kobiety zatrzymuje się w tym punkcie, gdzie sderża się ze ściśle ustalonym zakresem władzy mężczyzny. Hiszpanka nigdy właściwie dość konsekwentnie nie kwestionowała owaj przydzielone sobie roli. Wprawdzie dzisiaj zarabia się o 1/3 mniej małżeństw, niż jeszcze przed 10 laty, coraz więcej kobiet, szukających satysfakcji w pracy zawodowej, rezygnuje z małżeństwa. Także stopa urodzeń spadła z 2,8 promille do europejskiego poziomu 1,5. Niemniej wciąż jeszcze małżeństwo i macierzyństwo zaliczane są do podstawowych obowiązków kobiety, dzięki którym Hiszpanka spełnia swoje powinności powołania. 90 proc. hiszpańskich małżeństw ma potomstwo najpóźniej po dwóch latach pożycia, tylko 9 proc. nie chce w ogóle mieć dzieci.

Dla mężczyzny najważniejsze jest dziecko, gdyż pragnie w ten sposób utrwalić siebie. Tego przede wszystkim oczekuje od kobiety. 33-letnia Maria, która jest historykiem sztuki, tak właśnie widzi swoją przyszłość: musi iść za mąż. Aby zachować godność i rzetelność znaleźć męża, Maria stosuje wszystkie chwytby kobiecej dyplomacji. Ze swoim wybranym chodzi już 8 miesięcy, ale kategorycznie odrzuca wszystkie jego żądania. Dopiero, kiedy będzie zupełnie pewna, że ma on poważne zamiary — ulegnie, musi tylko dobrze uważać, żeby się nie rozmyślił.

— Trzeba wszystko saaranizować tak, żeby mężczyzna mógł triumfować — mówi Maria. Wprawdzie w gronie przyjaciółki narzeka na „skaranie boskie z hiszpańskim Macho”, ale skoro tylko na horyzoncie pojawia się jakaś istota płci męskiej, zaczyna flirtować, woli udawać naiwną niż mu się sprzeciwić.

Narzęcony Marli jest typowym Hiszpanem. Nie chce, żeby jego przyjaciółka brała pigułkę, ponieważ to rani jego męską dumę, byłaby wówczas zbyt niezależna. Od 8 lat pigułki antykoncepcyjne są w Hiszpanii wydawane za darmo, ale stosuje je zaledwie nieco więcej niż 25 proc. kobiet. Wielu lekarzy zwłaszcza na prowincji nie chce przepisywać pigulek, kobiety boją się również, że dowie się o tym ksiądz.

— Młode kobiety żyją obecnie pod presją mody, która nakazuje im aktywność seksualną, ale dreczy je stale poczucie winy — mówi dr Carmen Saez, psychiatra z madryckiego szpitala Provincial. — Mają one głęboko zakodowane wzorce z minionych stuleci — obraz dobrej matki i czulej żony, a jednocześnie jednak konkurują z mężczyzną w pracy zawodowej świata XXI wieku.

Katolicyzm wywiera olbrzymi wpływ na stosunek męsko-kobiecy w pojęciu większości Hiszpanów powyżej dwudziestki, nawet tych, którzy już nie chodzą do kościoła.

WIARA KATOLICKA W HISZPANII

nie ma nic wspólnego z włoską, jest mistyczna, a jednocześnie zimna, jak przedstawiająca Matkę Boską obraz El Greca. Grzech i kara, oczyszczająca ofiara — oto jej zasady.

Ten katolicyzm wydaje się jak gdyby stworzony po to, aby omotać kobietę siecią reguł i przepisów, aby wspierać patriarchat. Nauka katolicka lansuje dwa typy kobiecości: Maria czysta dziewica, matka Syna Bożego i Ewa — uwodzicielka, inicjatorka rebelii przeciwko męskiemu prawu, kwintesencja grzechu. Hiszpan szanuje swoją matkę, jak świętą, ale bynajmniej nie przyznaje jej pozycji, jaką cieszy się włoska „mamma”.

Od czasu Soboru Watykańskiego II Kościół nie żąda już, by seks w małżeństwie uprawiany był wyłącznie w celu prokreacji. Ale to, że kobieta może odczuwać satysfakcję seksualną, długo jeszcze nie będzie w Hiszpanii rzeczą oczywistą.

— Współżycie z mężem to coś wstępnego — tłumaczyły hiszpańskie matki córkom przed 20 laty — ale pozwól mu robić co chce, bo inaczej znajdziesz sobie inną.

W konsekwencji, wiele kobiet jest w małżeńskim łożu systematycznie gwałconych i te swoje negatywne odczucia wpały potem własnym córkom. W ankiecie przeprowadzonej przez dr Saez wśród kobiet w wieku od 15 do 50 lat, 85 proc. zapytanych przyznało wprawdzie, że ich małżeństwo jest szczęśliwe, ale jednocześnie oświadczyły one, że stosunki seksualne nie dają im satysfakcji.

Jak się zdaje, dziewictwo przestało być już w Hiszpanii wartością najwyższą. Jeszcze tylko 15 proc. młodych mężczyzn między 13 a 24 rokiem życia mówi:

— Po co mam się z nią żenić, kiedy już z nią spałem? Aby uwolnić się od blokady seksualnej, narzuconej przez tradycję i wychowanie, wiele kobiet ucieka się do psychoterapii.

— Dziewczęta między 21 a 25 rokiem życia, wywodzące się z katolickich rodzin o surowej moralności, traktują pozbycie się dziewictwa jako swego rodzaju eksperyment. Doświadczenie to kończy się najczęściej frustracją — stwierdza dr Carmen Saez.

Zdaniem lekarki, przyczyną zahamowań kobiet jest również to, że młodzi Hiszpanie pierwsze lekcje życia seksualnego pobierają nie ma ogół u prostytutek. — Uczą ich one techniki, ale o uczuciach nie ma mowy.

Wszystko wskazuje na to, że hiszpański mężczyzna wciąż jeszcze

BOI SIĘ KOBIECY SAMODZIELNEJ,

odnoszącej sukcesy zawodowe, ponieważ obala ona mit o jego wyższości i żąda zbyt wiele, jeśli chodzi o satysfakcję seksualną.

— Mężczyzna pragnie mówić nad kobietą przynajmniej intelektualnie. Lubi stać wyżej, naturalnie po to, aby wziąć ją w ramiona i podnieść — mówi właścicielka znanej madryckiej galerii sztuki, Juana de Aizpuru. Jest ona od 14 lat rozwiedziona, sama wychowała trzy córki. Uważa, że właśnie to, iż jest taka silna, spowodowało, że nie znalazła dla siebie nowego partnera.

Wciąż jeszcze małżeństwo pozostaje instytucją o takim znaczeniu, że nikt bezkarnie nie może go zlekceważyć. Bez mężczyzny — czy będzie to ojciec, brat, czy mąż — kobieta nie liczy się w społeczeństwie hiszpańskim. Kobiety, które nie wyszły za mąż uchodzą za nieudacznice i ofiary frustracji. Podejrzewa się, że praca zawodowa stanowi dla nich rekompensatę za niepowodzenia na gruncie stosunków męsko-damskich i często nazywa się je pogardliwie „marimacho” — „babo-chłop”.

Chociaż od pięciu lat w Hiszpanii prawnie istnieje możliwość rozwodu, kobieta rozwiedziona nie ma dobrej opinii. Do 1975 r. cudzołóstwo było przestępstwem wyłącznie kobiecym: jedna jedyna noc spędzona poza domem wystarczała, aby kobieta uznana została winną. Natomiast niewierny mąż zachowywał wszelkie prawa, o ile od czasu do czasu dawał żonie pieniądze i nie utrzymywał „jawnie” związku z inną kobietą. Jeśli zabił niewierną żonę lub jej kochanką, wówczas „ratowanie honoru” uznawano za okoliczność łagodzącą. (...)

Trudne do wykorzenia dogmaty o tradycyjnym podziale ról obu płci, powodują, że żadna z partii politycznych nie stawia szczególnie sprawy równouprawnienia, chociaż kobiety stanowią 53 proc. wyborców. W socjalistycznym rządzie Andaluzji-czyka Felipe Gonzalez nie ma ani jednej kobiety, w parlamencie — na 350 deputowanych zasiada zaledwie 19 kobiet.

Kobiety zajmujące się działalnością polityczną, które — jak Carolina Bustelo już za czasów dyktatury frankistowskiej działały na emigracji, wiązały wielkie nadzieje z Socjalistyczną Partią Robotniczą. Jednakże od lat daremnie walczą one o skromny 15-procentowy udział na listach kandydatów do parlamentu.

W kwestii przerwania ciąży rządząca absolutną większością partia socjalistyczna zdecydowała się na rozwiązanie polowiczne: od sierpnia 1983 r. zabieg jest dopuszczalny w przypadku, gdy ciąża jest skutkiem gwałtu, gdy dopuszczalnym jest nieprawidłowe lub gdy istnieje niebezpieczeństwo dla życia ciężarnej. Socjaliści nie zdobyli się na wzięcie pod uwagę jakichkolwiek względów społecznych. Skutek jest taki, że tylko 3 proc. skrobanek rocznie zostaje zalegalizowanych. Według ocen oficjalnych nielegalnym zabiegiem przerwania ciąży poddaje się 300 tys. Hiszpanek rocznie, z czego 90 tys. — za granicą. Wyjazd do Londynu, np. kosztuje 90 tys. peset, w co wliczony jest już koszt zabiegu.

Ruch wyzwolenia kobiet nie przyniósł kobiecie hiszpańskiej większych korzyści, ponieważ szybciej niż gdziekolwiek indziej wapanował w nią kryzys. Czasy bojowej solidarności kobiecej z pierwszych lat po śmierci Franco są dziś już niestety tylko tematem do dowcipów. (...)

Hiszpanie uważani byli zawsze za nie nadzwyczajnych mężów, a także za nie najlepszych ojców. Wiele wskazuje na to, że tacy też pozostali. Jednakże kobiece czasopismo „Dunia” ocenia na podstawie ankiety, przeprowadzonej wśród czytelniczek, że hiszpańskie mężowie są dziś lepszymi kochankami. 79 proc. uczestniczek ankiety śpi ze swoim partnerem przynajmniej raz w tygodniu, ale 72 proc. przyznaje, że czyni to także wtedy, kiedy w ogóle nie ma na to ochoty.

„Zmierzch Macho” — taki tytuł nosi artykuł, zamieszczony w ukazującym się od niedawna piśmie dla mężczyzn „Hombres”, a namawiający hiszpańskich mężczyzn, by zastosowali się do wymagań stawianych im przez kobiety:

— „Chcę cię widzieć mężczyzną, prawdziwym rycerzem, nie Rambo; przystojnym, ale inteligentnym, silnym ale wrażliwym, twardym, ale gotowym walczyć o ideały. Możesz to osiągnąć, możesz stać się takim mężczyzną o twardych mięśniach i miłym sercu”.

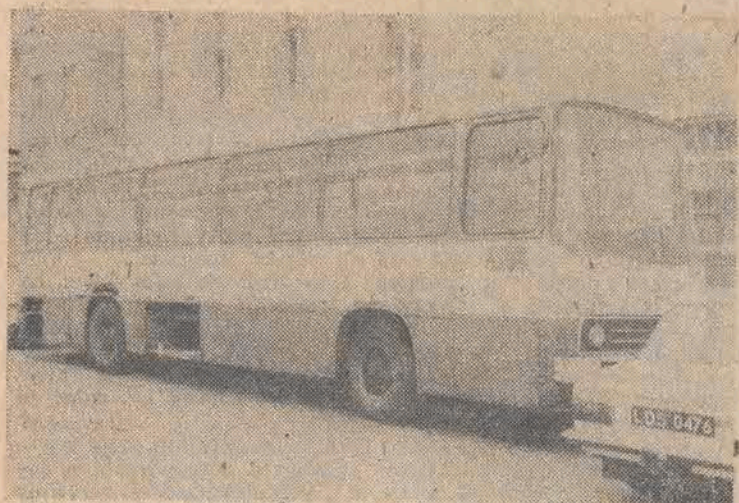


Foto: Witold Werner

Pod oknami „Odgłosów” już od kilku tygodni stoi wrak autobusu marki „Ikarus”. Niestety, nie ma on ani numerów rejestracyjnych, ani też napisu na drzwiach. Bardzo jesteśmy ciekawi, kto i dlaczego postawił go właśnie tutaj, a nie w składzie złomu?



Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafił — podnieś słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:

- 9 lipca — ANDRZEJ KAROLCZAK — godz. 10—16
- 13 lipca — ROMAN KUBIAK — godz. 10—16
- 16 lipca — PAWEŁ TOMASZEWSKI — godz. 10—16

Obywatel (nazwisko i adres znane redakcji) skarży się, że nie otrzymał paszportu tylko dlatego, iż istnieje przypuszczenie, że nielegalnie przedłużył swój pobyt za granicą. Krystyna Zarajczyk jest oburzona sprawą przecieku tematów egzaminacyjnych z matematyki; zastanawia się jak do tego doszło i kto na tym skorzystał, zaś Stefan Nowakowski, wynajmujący od 13 lat mieszkanie w Łodzi, przy ulicy Wólczajskiej 85a oraz jego żona, rezydująca w hotelu robotniczym, nie dostają zgody na zameldowanie w mieście.

Nieprawdą jest — twierdzi jeden z Czytelników — iż można zamieścić w łódzkiej prasie ekspresowe ogłoszenie z dnia na dzień. Zdarzyło mu się czekać w kolejce do Biura Ogłoszeń tylko po to, aby dowiedzieć się, że miejsca brak.

Dwóch Czytelników ma pretensję do „Odgłosów” — pierwszy (anonim) za niewłaściwą tonację relacji o wizycie Jana Pawła II w Łodzi, a drugi, Jarosław Grzegorzewski, za wkładkę poświęconą czterdziestoleciu Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego. Z wkładki wynika, iż w tym samym czasie wydawnictwem kierowało dwóch naczelnych dyrektorów. Przepraszamy! (Stosowne wyjaśnienie znalazło się na kolumnie Listy — Opinie — Polemiki w poprzednim numerze).

Kornel Kaczorowski porusza problem mieszkań własnościowych i nieprawidłowości w opłatach za świadczenia. Dzieje się to wbrew decyzji Trybunału Konstytucyjnego.

Od pierwszego lipca nie będzie już wolno ocieplać domów płytami azbestowymi, które są zdecydowanie szkodliwe dla zdrowia. Ale do pierwszego lipca było jeszcze trochę czasu, zatem wiceprezes spółdzielni mieszkaniowej „Lokator” postanowił uszczęśliwić polki co azbestem jeden z bloków przy ulicy Urzędniczej. Donosi o tym oburzony obywatel.

Oburza się również Marek Dronina z Belchatowa. Syn, uczeń Szkoły Podstawowej nr 10, przeszedł do piątej klasy i zdał niepotrzebne mu już podręczniki z klasy czwartej. Poklecił je, po-reperował i zdał, ale za jeden, wyjątkowo zużyty, na którym wykształciło się już parę rozników, musiał zapłacić. Tymczasem wręczono mu podręczniki do klasy piątej — są w jeszcze gorszym stanie i dosłownie rozsypana się w palcach. Pomijając fakt haniebnie zmaltretowanych podręczników Marek Dronina zapytuje, co dzieje się z pieniędzmi, które ściga się od biednych dzieciaków.

Jak się okazuje, czynny od pewnego czasu nasz dyżurny telefon, za pośrednictwem którego redaktorzy „Odgłosów” dowiadują się zarówno o kłopotach i bolączkach naszych czytelników, jak i w ogóle o niedomaganich życia codziennego w tej czy innej miejscowości, staje się stopniowo pewnego rodzaju instytucją interwencyjną, potrzebną coraz szerszemu kręgowi zainteresowanych. Spośród spraw, o których powiadamiali nas czytelnicy w ubiegłym tygodniu sygnalizujemy tu dziś następujące:

▲ Mieszkańcy budynku przy Rzgowskiej 72 uskarżają się na przerwanie remontu, który miał zapewnić lokatorom wodę jeszcze przed minionymi świętami Bożego Narodzenia. W dodatku z szamba wylewają się nieczystości, a na podwórzu grasują szczury.

▲ Ktoś inny, a mianowicie amator piwa, zarzuca sklepom sprzedającym piwo, że nabywają je w różnych przypadkowych browarach i to raz w większych, raz w mniejszych butelkach, a nierazko warunkiem nabycia piwa (jeśli ten cenny napój akurat się pojawia) jest zwrot takich, a nie innych butelek, czasami jednak butelek w ogóle się nie skupuje z braku pojemników i odsyła się klienta z kwitkiem. Trudno nie przyznać naszemu rozmówcy racji, że ze skupem rozmaitych opakowań bywa całkiem kiepsko, tak jakby to mało kogo obchodziło.

▲ Zadzwoń też poirytowany czytelnik, który przyjechał 2 lipca ze wsi specjalnie do Łodzi, żeby zaopatrzyć się w nawozy sztuczne do swego sadu, ale w sklepie ogrodniczym przy ul. Piotrkowskiej dowiedział się, że sprzedaż niektórych artykułów jest wstrzymana do odwołania ze względu na podwyżkę cen, nie sprzedano mu więc m.in. stojącego na półce „Agrovitu” za 980 zł. W ślad za tym zatelefonowaliśmy do centrali zaopatrzenia sklepów ogrodniczych na ul. Morgowa, gdzie potwierdzono ten stan rzeczy, usprawiedliwiając się, iż już jutro (tj. 3 lipca) udadzą się do sklepów ekipy przeceniające. Nasz czytelnik słusznie uważa, iż jest to opieszałość karygodna, tym bardziej, że tego rodzaju środki powinny być w stałej sprzedaży.

▲ W nie dość jasnej dla nas sprawie paszportowej p. J. Ch. postaramy się uzyskać odpowiednie wyjaśnienia.

REDAKTOR DYŻURNY

ŁÓDŹ: historia, wspomnienia, relacje

Łódzkie getto zostało zamknięte 30 kwietnia 1940 r. po przesiedleniu do niego przede wszystkim mieszkańców Łodzi żydowskiego pochodzenia. Było jednym z pierwszych gett, które powstały w okupowanej Polsce. Było największym po warszawskim (przeszło przez nie prawie 200 tys. ludzi) i wreszcie było tym, które przetrwało najdłużej, bo do 28.VIII. 1944 roku.

Utworzone zostało w północnej części miasta, a jego centralnym punktem był Bałucki Rynek i pl. Kościelny. Był to rejon zamieszkały w przeważającej części przez biedotę żydowską, a jednocześnie rejon o najbardziej zaniedbanej infrastrukturze komunalnej. Cały teren o powierzchni 4,13 ha został otoczony drewnianym parkanem wzmocnionym drutem kolczastym, zaś dookoła — z zewnątrz — ustawiono poste-

raz nr 5 kończąca bieg na Zabiecu przy torach kolejowych. Bilet tramwajowy kosztował wówczas od 10 do 20 fenigów, ale na „gettowski” odcinek tych linii można było wykupić bilet specjalny w cenie 5 fenigów. Na liniach 1 i 7 odcinek ten był liczony od pl. Wolności do krańcówki „Julianów”, a na liniach 3 i 5 również od pl. Wolności do skrzyżowania Hipotecznej z Limanowskiego. Bilety te można było wykupować u konduktorów bądź — od października 1941 r. — w dwóch automatach, które zostały ustawione na przystanku przy ul. Nowomiejskiej przy Północnej i na krańcówce „Julianów” (inna wersja mówi, że na Zgierskiej przy Julianowskiej oraz, że było tych automatów 4 sztuki). Bilety sprzedawane z automatu były podobne do obecnych biletów kolejowych, miały kolor żółty, a odpowied-

Getto w Łodzi podzieliło miasto na kilka części. Tramwaje przejeżdżały przez getto zamknięte. Tramwajarzy kontrolowało gestapo.

Tramwaj w getcie

WOJCIECH ŻRÓDLAK

runki policyjne co 50—100 m tak, że każdy wartownik miał w zasięgu wzroku dwóch innych z prawej i lewej strony. Łódzkie getto składało się z trzech części. Część wschodnią i zachodnią rozdzielała ul. Zgierska, natomiast część zachodnią ulica Aleksandrowska (dziś Limanowskiego) dzieliła na północną i południową. Zasadniczą część getta znajdowała się na wschód od ul. Zgierskiej sięgając aż po cmentarz żydowski na Dołach. Na północy sięgała ulicy Inflanckiej, a na południu ul. Północnej.

Upięknienie getta w tej części miasta wielce skomplikowało ruch kołowy i pieszy w kierunku na północ i północny zachód oraz wschód od miasta. Najbardziej — z konieczności — okupant uregulował kwestię ruchu na Zgierskiej i Limanowskiego. Otóż obie te ulice, a właściwie tylko ich środek bez chodników, pozostawiono jako „aryjskie” ciągi komunikacyjne z zastrzeżeniem, że mogli się po nich odbywać wyłącznie ruch kołowy przy bezwzględnym zakazie zatrzymywania się na odcinkach przebiegających przez getto. W tej sytuacji piesi „aryjscy” zostali zmuszeni do korzystania na tych odcinkach obu ulic z komunikacji tramwajowej.

W tym czasie Zgierską kursowały tramwaje czterech linii: nr 1 i 7 miały krańcówkę na „Julianowie”, nr 3 z krańcówką przy skrzyżowaniu ul. Hipotecznej z Limanowskiego o-

ni nadruk informował o odcinku, na jaki były ważne.

Natomiast sprawa przejazdu przez getto ulicami Franciszkańską i Brzezińską (dziś Wojska Polskiego) była bardziej skomplikowana, albowiem ulice te nie zostały wydzielone z obszaru getta i do końca 1942 r. ruch dla „aryjczyków” w kierunku Dołów odbywał się okólną drogą.

11 listopada 1942 r. odbyło się spotkanie szefa łódzkiego gestapo O. Bratfisch'a oraz komisarza do spraw getta tamże G. Fuchsa z przedstawicielami tramwajów miejskich („Litzmannstädter Elektrische Strassenbahn — LES) w sprawie wznowienia komunikacji tramwajowej na tym odcinku. Sednem problemu, który rozważano, było ściśle odizolowanie jadących tramwajem „aryjczyków” od mieszkańców getta. Z tą myślą przedstawiciele dyrekcji LES pokazali pierwsze cztery wagony specjalnie przystosowane do ruchu przez getto, stąd później wszystkie wagony, które jeździły na tej trasie tramwajarze nazywali „gettowskimi”.

Były to dwa wagony silnikowe: „Lillpop III” — nr boc. 158 i „Sanok” — nr boc. 22 oraz dwie doczepki: „Legnica” — nr boc. 523 i doczepka będąca własnością tramwajów podmiejskich — nr boc. 103. Przeróbki polegały przede wszystkim na zamontowaniu w nich drzwi na pomostach, które mogły być ryglowane (do tej

pory łódzkie tramwaje posiadały tylko drzwi z pomostu do wnętrza). Poza tym zabezpieczono ich okna przed możliwością nie kontrolowanego otwarcia.

W wyniku tego spotkania w niedzielę 15 listopada 1942 roku uruchomiono linię tramwajową na Doły z tymi wagonami przez getta ulicami Franciszkańską i Brzezińską. Natomiast ruch kołowy w tamtym kierunku do likwidacji getta odbywał się w dalszym ciągu okólną drogą. Do obsługi tramwajów na tej linii skierowano początkowo wyłącznie Niemców lub wołkadeutschów, którzy musieli być wcześniej zaakceptowani przez gestapo. Później, gdy stopniowo wysyłano ich na front, miejsce ich zajmowali Polacy, ale zawsze kolejne kandydatury musiały być akceptowane przez odpowiednią komórkę gestapo. Ruch na tej linii odbywał się w ten sposób, że tramwaj jadący od strony miasta zatrzymywał się przed posterunkiem granicznym getta ustawionym na ul. Franciszkańskiej przy Smugowej, tutaj następowało zamknięcie wagonów a nawet początkowo ich plombowanie. Otwierała się brama i tramwaj ruszał. Motoronicy musieli przejechać przez getto nigdzie się nie zatrzymując, do posterunku na ul. Brzezińskiej przy ul. Głowackiego.

Już na drugi dzień po otwarciu ruchu na tej linii wyjechała się doczepka jednego z tramwajów w trakcie przejazdu przez getto. Powtórne wstawienie jej na tor trwało bardzo długo albowiem zamknięci w niej ludzie musieli najpierw czekać na przybycie specjalnego oddziału policji niemieckiej, który wypuścił ich z wnętrza i pilnował do chwili ustawienia wagonu na torze, aby nie zetknęli się z mieszkańcami getta.

Tramwaje „aryjskie” kursowały wyłącznie prawym torem w jedną i drugą stronę, lewym jeździły wagony żydowskiego tramwaju. Jak wynika z zapisu w „Kronice getta łódzkiego”, w wyniku długotrwałych starań podejmowanych przez zarząd getta, okupant wyraził zgodę na uruchomienie specjalne, wyłącznie towarowej, komunikacji tramwajowej. Przekazanie tabo-ru nastąpiło 13 września 1941 roku. Były to dwa wagony silnikowe oraz kilka wagonów towarowych ze składu tabo-ru tramwajów podmiejskich i miejskich. W przeważającej części były to wagony w znacznym stopniu wyeksploatowane. Między innymi LES przekazała do getta wagon letni sprowadzony do Łodzi z Koblencji. Prawdopodobnie o nim myślał jeden z redaktorów codziennego biuletynu „Kroniki getta łódzkiego” notując:

„Jeden wagon motorowy dosłownie przedpotopowego typu, jak gdyby z rekwizytorni filmowej, zamierzającej kreć obraz z XIX stulecia”. Przekazane tramwaje miały służyć do transportu towarów pomiędzy Marysinem, gdzie między innymi znajdowała się boćnica kolejowa, a Bałuckim Ryńkiem. W tym celu wybudowano w bardzo trud-

nych warunkach zimy 1941—1942 r. sieć tramwaju gettowskiego. Była to przede wszystkim dwutorowa linia od ul. Brzezińskiej, Marysińskiej, Jagiellońskiej (dziś J. Kolińskiego), Inflancką do boćnicy za cmentarzem żydowskim na Dołach. Ponadto zainstalowano cały szereg odgałęzień od wspomnianej boćnicy kolejowej, do reżni bałuckiej, do centrali krawieckiej, na plac wazny, weglowy i do oddziału krawieckiego na ul. Jakuba. (Gdzie dokładnie znajdowały się te miejsca?) Wszystkie te prace zostały wykonane w ciągu 9 miesięcy pod kierunkiem majstra komunikacji tramwajowej Binema Kopolmana. Na Bałuckim Ryńku wykorzystano przedwojenną krańcówkę tramwajów podmiejskich do Zgierza i Ozorkowa.

Oficjalne otwarcie komunikacji tramwajowej w łódzkim getcie nastąpiło 2 czerwca 1942 r. na trasie Bałucki Rynek — Marysin. Tabor był obsługiwany wyłącznie przez mieszkańców getta, którzy zostali specjalnie przeszkoleni przez specjalnie w tym celu przydzielonego instruktora.

O komunikacji w łódzkim getcie wspomina nieznanymi autor pamiętnika odnalezionego na terenie obozu oświęcimskiego:

„Jak jest Ci już wiadomym z moich listów, istnieje tu u nas w getcie tramwaj służyący jako środek transportowy. Dość często jednak zabiera robotników do miejsca pracy i z pracy do domu. Od czasu do czasu jadę nim również. Mam w tym podwójny cel: po pierwsze, w getcie trzeba oszczędzać nogi, a zwłaszcza o-buwie. A po drugie, to jest dla mnie, jak i dla Ciebie, bardzo interesujące by podstuchać rozmowy prowadzone przez robotników, albo wdać się w rozmowę. Dowiaduję się u nich o wszystkim, co się dzieje w getcie, a co najważniejsze, to, o czym się mówi”.

To specyficzne przedsiębiorstwo tramwajowe działało do momentu likwidacji łódzkiego getta, czyli do połowy 1944 roku, a tabor powrócił do miejskiego i podmiejskiego przedsiębiorstwa komunikacyjnego. Śladem tej komunikacji było wyposażenie wszystkich wagonów typu „Lillpop” już po wojnie w charakterystyczne, lamane drzwi wejściowe.

PS. Podjęte zostały prace badawcze nad komunikacją tramwajową w łódzkim getcie, które chciałibyśmy uzupełnić o wspomnienia ludzi z nią związane. Poszukujemy oryginalnych zdjęć, dokumentów, biletów tramwajowych. Chcielibyśmy również ustalić dokładny układ sieci tramwaju gettowskiego.

Wszelkie informacje prosimy kierować pod adresem redakcji bądź Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego, Oddział Radogoszcz, ul. Zgierska 147, tel. 57-93-34.



LATO W MIEŚCIE nie jest przyjemne, chyba że jest to całkiem obce, najlepiej zagraniczne, pełne zabytków miasto. Niestety, większość z nas musi spędzać wakacyjne miesiące, w najlepszym przypadku chociaż jeden z nich, we własnym. Na pociechę pomyślałam więc, że w obcym mieście łatwo zablądzić, a w swoim — mogą dojść do sklepu, w którym robie codzienne zakupy, do kiosku, gdzie każdego rana kupuję papierosy i w kilka innych handlowo-usługowych miejsc z zamkniętymi oczami, doskonale od lat znana droga. Wkrótce jednak okazało się, że owszem, mogę, ale tylko od września do lipca.

W WAKACYJNE MIESIĄCE nasze codzienne drogi i dróżki zmieniają się niespodzianie i co najmniej kilkakrotnie. Przykład z ostatnich dni: w domu zabrakło papierosów i cukru. Było kilka minut po godz. 16. Wybrałam się więc najpierw do kiosku. Najbliższy

domu — zamknięty od dawna z powodu braku personelu. W następnym, nie zakończył się jeszcze trwający od tygodnia remanent. Kolejny kiosk także nieczynny, jak wynika z informacji na szybie, odbywa się właśnie przyjęcie towaru, choć w środku nikogo nie ma. Nic to, pomyślałam, papierosy będą także w sklepie.

Z POWODU CHOROBY PERSONELU zamknięty był mały sklepik spożywczy na mojej ulicy, z jednoosobową obsługą. Trochę to może dziwne, że pani ekspedientka, która w doskonałej formie przetrwała styczniowe mrozy i zimną wiosnę, zachorowała akurat gdy znacznie poprawiła się pogoda, ale i tak się przecieży zdarza. Trzeba było pójść dalej, do dużego sklepu wzorcowego, czynnego zwykle do godz. 20. Ten był także zamknięty, na drzwiach wisiała informacja, że przez cały lipiec czynny będzie w skróconym (o cztery godziny) czasie z powodu urlopow zalogi. Personel sklepu też ludzie i urlop mieć musi. Wiadomo, że większość stanowią kobiety, często matki dzieci w wieku szkolnym, muszą więc wykorzystywać urlopy w wakacje, ale... jest to największy i najwygodniejszy dla klientów sklep na dużym osiedlu, a na dodatek wzorcowy. Jeśli tak wygląda wzór, to trudno się dziwić, że nasładowo go także sklepy „zwykłe”, mniejsze.

CO TO ZNACZY WZORCOWOŚĆ? Teraz już chyba trudno precyzyjnie odpowiedzieć, choć idea stworzenia takich sklepów była słuszną. Miały one odznaczać się nie tylko sprawną i fachową obsługą, ale także ciągłością zaopatrzenia we wszystkie podstawowe produkty i bogatszym niż w innych placówkach asortymentem towaru. Specjalne przepisy atwarzały kierownikom placówek wzorcowych większą samodzielność w zaopatrywaniu się w różnych źródłach, co poparte zostało systemem bodźców, skłaniających do rozwijania inicjatyw. Może bodźce były za słabe, a może tytuł „wzorcowy” rozdawano zbyt licznie i łatwo, dość że obecnie placówki te nie różnią się od pozostałych.

W JEDNYM Z PIERWSZYCH wzorcowych sklepów przy placu Barlickiego można było dostać przez jakiś czas nieosiągalną wówczas gdzie indziej kawę, amerykańskie papierosy, importowane wina. Po tych wspaniałościach nie zostało ani śladu. W moim osiedlu, w promieniu dwóch przystanków autobusowych, powstały aż trzy wzorcowe — wspomniany już największy „sam”, drugi, też spory, z tradycyjną obsługą, gdzie kupienie np. białego sera, ciasta i piwa wymaga stania aż w trzech kolejkach do różnych stoisk i trzech, niezbyt dużych, w którym prowadzona jest sprzedaż towarów na kartki dla

diabetyków (może dlatego właśnie zastąpił na tytuł wzorcowego?) a poza tym o żadnym wzbogaconym asortymencie nie ma mowy. W ostatni piątek brakowało tam nawet sera żółtego i masła. Takich wzorów to ja nie chcę i, na wszelki wypadek, postanowiłam do końca wakacji robić zakupy w centrum miasta. Tu także niektóre placówki zamknięte są lub krócej czynne z rozmaitych powodów, ale przynajmniej położone niedaleko siebie, więc handlowe wakacje nie są tak uciążliwe, jak w odległych dzielnicach. Bardzo uciążliwe jest jednak targanie wyladowanych siatek zatłoczonym autobusem. CZY DROBIAZGIEM SA TYLKO nieczynne sklepy, kioski i pralnie, nasilające się każdego roku latem trudności z zakupami podstawowych towarów, brak biletów po 9 zł i konieczność kasowania jednorazowo po kilka sztuk „składankowych”, kupione w godzinach rannych mleko, którego nie można już przegotować i jeszcze setki drobnych uciążliwości. Nie trzeba jednak irytować się drobiazgami — wakacje trwają tylko dwa miesiące, a potem wszystko wróci do normy. Do następnego sezonu.

AGATA

Przed laty przeżywałem fascynację średniowieczem. Staram się sobie przypomnieć, od jakiej przeczytanej książki zaczęło się moje uwielbienie dla tej epoki. Może to był Huizinga i jego „Jesień średniowiecza”, może Le Goff i „Inteligencja wieków średnich” — nie wiem. Co mnie w średniowieczu urzekło? Chyba jego różnorodność, jego zmienność, wielość kontrastów, mistycyzm, baśniowość pomieszana z lekkością i okrucieństwem, świat zaludniony przez rycerzy i ich piękne wybranki, okrutnych, ale i dobrych królów, poważeń mnichów i wszelkiej maści rozbójników.

Powie ktoś, że to spojrzenie tradycyjne, tak się patrzy na dziecinstwo i młodość zmitologizowane przez mijający czas, który wleciał w obraz swoje niczym nie skrepowane maski fantazji. Pewnie to prawda, ale przecież odrobina fantazji nikomu jeszcze nie zaszkodziła, nie licząc oczywiście Don Kichota i kilku innych mniej ważnych. I mimo to, że wymieniam przed chwilą książki, których autorzy w bardzo poważny sposób podchodzą do tematu i nie ma u nich żadnego mitologizowania, to jednak takie fantastyczne obrazy średniowiecza są jakby zakodowane w naszej świadomości i ani rusz się ich pozbyć.

Dziwna miłość do średniowiecza

Ale jak większość miłości, tak i ta moja do średniowiecza musi się skończyć, przeszła w inną. Jednak mądrzy ludzie powiadają, że stara miłość nie rdzewieje. Biorę do ręki książkę, czytam:

„Bardzo mało ludzi — pustkowia, które ku zachodowi, ku północy, ku wschodowi ogarniają coraz większe niezmiernie przestrzenie i wreszcie pokrywają wszystko — ugory, bagna, kapryśne rzeki i landy, zagajniki, pastwiska, rozmaite kalekie postaci lasu, jakie zostawia za sobą pożar — niskie poszycie i dorywcze zasiewy, stosowane po wzięciu — tu i ówdzie polany, czyli ziemia żmij uwarzona, ale tylko w części; brudny orze ptykcie, śmiechu warte, takie, jakie w opornej glebie mogły wyrastać drewniane narzędzia ciągnięte przez chude woty...”

Mógłbym dalej cytować, bo opis to piękny, ale kto zainteresowany — niech sam przeczyta; w roku 1986 ukazała się książka Georges'a Duby pt.: „Czas katedr — Sztuka i społeczeństwo 980—1420”. Zasiadłem do niej z wielkim zainteresowaniem i nie zawiodłem się, bo praca to wielce ciekawa. Autor pokazuje zależności między społeczeństwem a światem sztuki, mówi o czynnikach warunkujących działalność artystyczną. Bo w owych czasach sztuka powstawała na styku wielu antagonizmów, na przykład między klerem a rycerstwem, a oddawała przede wszystkim sakrum, bo każda twórczość, choć jej przedmiotem była materia, korzenie swoje miała w duszy, a jeśli w duszy, to oczywiście w Bogu. I jeśli forma oddana była we władanie artystom, to treść danego dzieła podlegała teologom. DUBY napisał:

„Chcąc więc zrozumieć sztukę tamtych czasów, bardziej niż socjologia czy ekonomia należy zająć się teologią”.

Suger, mnich z opactwa Saint-Denis-en-France, z nazwiskiem którego łączymy początki nowego stylu zwanego gotykiem, nie przebudował swojego opackiego kościoła, byłby ładniej, bo taki akurat miał pomysł, ale dla chwały Boga. A odchodzenie od mroku romańskiego do świata, którym cieszy się gotyk, miało swoje głębokie uwarunkowanie w teologii. Nowe budowie kierowały się w stronę Chrystusa, oddawały Wcielenie. Maria odgrywała we Wcieleniu rolę niezwykłą. Stąd właśnie prawie wszystkie katedry budowane w średniowieczu są pod wezwaniem Matki Bożej.

„Nowa sztuka, której Suger był twórcą, jest holdem dla syna człowieka (...). Odrzucała majestata sennie, monstra, rozpętanie wyobraźni, Głosiła prymat wartości plastycznych”.

Przed trzema laty przeczytałem dość dokładnie książkę George'a Hendersona pt. „Wczesne średniowiecze”, teraz wydaje mi się, że można prace Hendersona i DUBY czytać w kolejności, bo jeden omawia styl romański, drugi gotyk, a więc książki te jakby się uzupełniają. Przy okazji wspomnę o jeszcze jednej książce. Niedługo po „Czasach katedr” ukazała się następna pozycja tego samego autora pt. „Rycerz, kobieta i ksiądz — Matuzimowstwo w feudalnej Francji”, ale o tej, równie interesującej, książce może już innym razem.

Wracam do „Czasów katedr”. Autor zajmuje się także literaturą, uważa, że dziełem, które najpełniej wyraża średniowiecze, jest „Boska komedia”. DUBY napisał wprost, że jest ona także katedrą i podobnie jak jej siostry budowane z cegły, widać się słowem ku niebu. „Jak nakazuje hierarchia świata Dionizego Aeropagity, i że wstawianiem świętego Bernarda, świętego Franciszka i Marii Panny, prowadziła ku miłości, która porusza gwiazdy”.

I tutaj uwaga na marginesie: otóż dziś trochę rzadziej zaglądamy do dzieła Dantego. Ale myślę, że można byłoby wykorzystywać radę, której udzielił w jednym ze swoich esejów wielki miłośnik i znawca „Boskiej komedii” Stanisław Vincenz, a mianowicie, że dzieło to należy czytać we fragmentach, od czasu do czasu, bez jakiegokolwiek przymusu.

Sztuka od swych li tylko religijnej funkcji zaczyna odchodzić w wieku XIV, kiedy wtyłki przestają być sztuką wyrażającą harmonię świata i miejsce człowieka w owym świecie, artysta „oddal się w służbę człowiekowi” — powie DUBY.

Oczywiście sygnalizuję tylko niektóre z problemów, które pojawiają się w książce, uważam, że praca warta jest dokładnego przeczytania w całości przez wszystkich miłośników gotyku, a jest ich, jak sądzę, wielu. Ponieważ sam darzę dużą sympatią epokę wieków średnich, wolę ją na przykład od tak wychwalanego w szkole renesansu, cieszy mnie myśl, którą znalazłem w książce Delumeau pt. „Strach w kulturze zachodu” (pisałem o tej pracy niedawno):

„Trzeba więc dokonać korekty tego, co napisał Burckhardt o renesansie. Był on wyzwoleniem człowieka tylko dla nielicznych: Leonarda, Erazma, Rabelais'go, Kopernika itd., ale dla większości członków elity europejskiej był poczuciem słabości”.

Na początku zacytowałem kilka zdań wybranych z pierwszych stron „Czasów katedr”, by pokazać piękno i lekkość języka jakim jest napisana ta książka. Bo historyk, o czym jakby dawno się już zapomnieli, powinien być także pisarzem. Na okładce jest kilka zdań od wydawcy „język zaś, jakim jest napisana książka, pozwala zaliczyć ją do literatury pięknej, a nawet bardzo pięknej”. Nic dodać, nie ująć!

Na koniec jedna tylko uwaga: książki tego typu powinny jednak ukazywać się z ilustracjami. Ułatwiłoby to na pewno czytanie, a i zbliżyło w jakiś sposób epokę.

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

Nagle zastępstwo

„Ch” czy „H”?

Ranek, 30 czerwca. Około godziny ósmej wysłuchuję z przyjemnością kolejnej pogadanki językowej w wykonaniu pani redaktor Tułowieckiej i doktora Markowskiego. Mądre, niebanalne, zabawne i pozytywne. Po godzinie później serwis trójki, a w nim depesza, której najważniejsze zdanie brzmi (cytuje z pamięci): „profesor stwierdził, że tylko zapobieganie jest skuteczną profilaktyką w walce z AIDS”.

Za to zdanie redaktor PAP (lub jego radiowy kolega) powinien dostać specjalną nagrodę! Zwróćcie państwo uwagę na precyzję i absolutną odwrotność i komplementarność tego zwrotu. Można tak: „zapobieganie jest skuteczną profilaktyką”, a można i odwrotnie: „profilaktyka jest skutecznym zapobieganiem”. Piękne, logiczne, zwarte, no... naukowe, po prostu!

Jak czytelnik był łaskaw się już domyślić, rzecz będzie nie na temat radia ani PAP, ani nawet o AIDS, tylko na mój ulubiony temat językowy. Ale nie o poprawności, nie. Uwaga! Będzie o „brzydkich wyrazach”.

Kiedykolwiek słyszę, że gdzieś tam ktoś zabrał głos o kulturze języka, to stawiam 100 procentowo, że wypłynęła ta sprawa. Oczywiście jako straszliwe zagrożenie, zachwycanie, kalandria itp. Podczas, gdy jest to rzecz marginalna dosyć w porównaniu ze straszliwymi szkodami, jakie czyni naszemu językowi biurokratyczny żargon, pseudointelektualny bełkot itp. plugastwa. Nie chodzi o to, żebyśmy mówili ładnie, poprawnie, logicznie. Żebyśmy w mowie i piśmie starali się zachować indywidualny styl, żebyśmy formę swej wypowiedzi dostosowywali do tematu i klimatu. Nie chodzi o to, żeby — broń Boże! — w książce, gazecie, radiu, TV czy w kinie ktoś nie zaklął, nie nazwał po imieniu rzeczy, sprawy czy osoby, która akurat na inne słowo nie zastępuje.

I oto przedstawiam państwu nowego purystę: jest to nauczyciel z Krakowa, z tytułem doktora (nie zdziwiłbym się gdyby to był doktor filologii), który pisze do „Przeglądu Tygodniowego” (nr 25 z czerwca br.) list, a w tym liście rzeczy przedstawia haniebne.

Oto, w wydanej przez „Iskry” powieści SF „Człowiek plus” Frederika Pohla jest 38 słów „paskudnych” na 300 stronice tekstu A w ogóle — jak zauważa pan dr — książka jest dobra i ciekawa. Niestety, przeczytał ją syn p. dr!

Takie wyrazy — zauważa doktor — można przeczytać wypisane na parkanie przy dworcowym szalecie. Dalej pisze: — Wiem, że takich i nie tylko takich wyrazów można się w szkole nasłuchać...

Jesteśmy w domu. W szkole „można się nasłuchać”, „można przeczytać na parkanie”, ale w książce? Ty, hańba.

Popatrzcie państwo, czego doktor nie wymyślił, zwłaszcza gdy jest z Krakowa! Anatomę, mościelewy, anatom! Na książkę!

Umówmy się raz wreszcie, panie doktorze: Są te „wyrazy” czy ich nie ma? Są, sam pan o tym pisze. Używać ich nieładnie? Ano, nieładnie. Gdzie ich nieładnie używać? Na płocie, w towarzyskiej rozmowie, no, w ogóle w kulturalnym towarzystwie. Jak skłonić młodzież do tego, żeby ich użycia zanęcała? Zakazać? Wolne żarty... od stuleci zakazują i skutecznym obywatel. Pozwalać? To może przesada, ale przede wszystkim pokazywać (nie desygnować, nie). Pokazać na przykładach, wyjaśnić, na czym polegać, gorszość. Np. pokazać środowi-

sko, które tych słów nadużywa. I powiedzieć o tym kiedy i jak używają ich (bo używają przecież) ludzie kulturalni.

Oczywiście, można sobie wyobrazić, że powieść SF przetułowacymy w ten sposób, aby świętości nie szargać. Taka np. scenka: Ktoś (w powieści) robi jakieś niewyobrażalne świństwo. Drugi bohater, w złości, w sytuacji ekstremalnej, w zagrożeniu, wykrzykuje: — ty... synu! Co robi kulturalny tłumacz? Skreśla „takiego syna” i pisze np.: — ty brzydaku!

Cnota zachowana a jaki znakomity efekt literacki!

Panie doktorze! Jeśli zechciałby pan w klasie, na lekcji poprowadzić z całą doktorską powagą temat „obszerna słowność w życiu i literaturze” wybiore się do Pana, do Krakowa. Przejdzie pan do historii! (Nie dzięki mnie, oczywiście).

A swoją drogą, wolałbym, żeby mój syn czytał, że świństwa w książce niż na płocie. Przynajmniej wiedziałby, że pewne „brzydkie słowo” pisze się przez „ch” a nie „h”...

ANDRZEJ KAROL

2 Lewym okiem

Cud w „Hortexie”

Czytam co dzień w prasie, słyszę w radio i w telewizji wezwania do oszczędności, do ograniczenia marnotrawstwa, do gospodarności i racjonalności. Przechodzę codziennie ulicą Narutowicza i co dzień mijam wielki sklep na rogu ulicy Armii Ludowej. Tu była przez wiele lat księgarnia, pamiętam wcześniej jak prosperowała tam w pierwszych latach powojennych prywatna restauracja, którą potem upaństwowiono, więc zbankrutowała. Ale księgarnia prosperowała od wielu lat i miała chyba dużą frekwencję. Od paru lat lokal księgarń jest w remoncie, zapaskudzone na białą szaby, w środku nie dzieje się nic. To by się chyba nie mogło zdarzyć w żadnym kraju, żeby sklep w tak doskonałym punkcie miasta stał tyle czasu nieczynny. Ciekawy jestem, co dzieje się z ludźmi związanymi z tym sklepem i tym wszystkim, czy przez te wszystkie lata płaci im się za nic, za bezczynne czekanie na łaskawe zakończenie remontu przez kogoś tam, czy pracują w innych księgarniach? Raczej sądzę, że tak właśnie jest.

Ciekawy też jestem czy przedsiębiorstwo, które w pewnym momencie podjęło się remontu, nawet go rozpoczęło — przecież zamalowano szaby, usunięto książki, usunięto regały — czy przedsiębiorstwo to postawiło sobie wtedy jakiś termin ukończenia prac, czy zapłaciło solidną karę za niedotrzymanie terminu, czy ktoś od niego tej kary żądał? Ciekawy jestem czy, jeżeli to wszystko się nie stało, jeżeli przedsiębiorstwo remontowe nie mogło sobie dać rady, czy „Dom Książki”, który jest gestorem tego lokalu zerwał umowę z niesolidnym wykonawcą, czy odpowiednio karę zapłacił, czy odpowiednio karę zerwanie umowy, czy poszukiwał innego wykonawcy?

W tym miejscu dałbym „Domowi Książki” dobrą radę, niech popatrzy na „Hortex”, Kawiarnia niezmiernie ruchli-

wa, wciąż pełna ludzi, w samym centrum miasta została gruntownie wyremontowana w sposób prawie niezauważalny dla klientów. Jeden dzień, słownie jeden dzień, była nieczynna, poza tym wszystkie prace wykonywano nocami, wymieniono wykładziny podłogowe, zmieniono wystrój lokalu. Niech „Dom Książki” zapyta, jak się to robi? Jeżeli w swoim lokalu nie potrafi dokonać hortexowego cudu, niech odstąpi ten lokal komuś innemu, kto to potrafi. Myślę, że znajdują się chętni choćby w postaci sąta.

Naprawdę trudno namawiać do oszczędności pojedynczych ludzi, do skromnych, groszowych ograniczeń, kiedy jednocześnie dokoła widzi się wyrzucanie na wielką skalę pieniędzy, zwłaszcza tam, gdzie mieszczą sami emeryci lub same kobiety z dziećmi. Potem przychodzi malarze, nie mają nawet własnych wiader, mydła, farby, trzeba im to wszystko dać, wreszcie machają pedzłami nie bacząc na nic, zostawiają po sobie grubą, wielokolorową warstwę na podłodze, zachlapane szyby, pochłapane meble, żyrandole, wyszklone. Po odejściu malarzy czeka mieszkańców jeszcze tydzień wielkiej mozolnej pracy. A jak to jest gdzie indziej? Widziałem w RFN jak do mieszkania trzypokojowego przyszło dwóch cudzoziemskich robotników, zsunęli meble na środek pokoju, okryli wielkim płatem folii, taką samą folią zaciągnęli okna, przykryli podłogę, spokojnie malowali nie chłapiąc, nie brudząc, zwinęli potem wszystkie te folie, rozstawili z powrotem meble, jakby ich wcale nie było, a mieszkanie odnowione. Taką folię podłoga potem pod hydrant i do nowego mieszkania pójda znowu z czystą.

Prawda jakie to proste, praktyczne, niewyszukane, ile oszczędza niepotrzebnego trudu i nerwów, jak bardzo godne naśladowania?

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3 Sport

Czy nadejdzie Zulus Chaka?

Bardzo podobal mi się dowcip w „Szpilkach”. Do gabinetu dyrektora, prezesa, kierownika (niepotrzebnie skreślić) wpada zaskoczony urzędnik i woła: — Szefie! Przyszedł Zulus Chaka ze swoimi ludźmi i mówi, że będą robić atakację!

Baraż mamy już za sobą i wielką sensację też. Oto 13-krotny mistrz Polski, drużyna, która nigdy nie spadła do II ligi, już się w niej znajduje. Jak to możliwe? Nawet Jacek Machciński temu nie zapobiegł!

A kadra jedzie do USA. Zresztą co to jest za kadra? Czy to jest jakiś zgrany już z sobą zespół, czy po prostu ze-

brana grupa piłkarzy, którym należą się atrakcyjne wakacje? Nie tylko ja mam wątpliwości. Dziennikarz „Expressu” Wic-zorzono” zapytał o to trenera Wojciecha Łazarka, ale po kilku zdaniach usłyszyliśmy od trenera napisal: „Nie warto dalej cytować...”

W tej niemy-kadrze jest na przykład Krzysztof Baran z ŁKS, którego PZPN ukarał za niesportowy tryb życia dyskwalifikacją z zawieszaniem i którego — swego czasu — trener Wojciech Łazarka odesłał ze zgrupowania kadry. Nie mam nic przeciw Krzysztofowi Baranowi. Mam natomiast wiele przeciw takiej niekonsekwencji. Nie można przecież i jednocześnie karać i nagradzać wakacjami w USA.

A poza tym, w ogóle futbol w USA stoi na tak wysokim poziomie, że mamy się tam czego uczyć.

PZPN coraz bardziej brnie w niekonsekwencje. Najpierw karze poznańskiego Lecha zakazem wyjazdów zagranicznych, a następnie godzi się na udział drużyny w rozrywkach Interneto.

W takiej sytuacji trudno się dziwić, że były sędzia Alojzy Jarguz, a obecnie zastępca dyrektora Zagłębia Lubin do spraw piłki nożnej, wykrzykuje: — „Będziemy się odwoływać, pójdziemy nawet do sądu administracyjnego. Wszystko zostało ukartowane przeciwko nam!”

Któż to zrobił? Wiadomo — prasa. Zawsze wszystkiemu są winni dziennikarze. To oni wymyślają niestworzone rzeczy, oni jątrzą, skłócają, różnią i tak dalej. Nie ten jest przecież winny, kto zio czyni, ale ten, kto to zio ujawnia i opisuje. W Lubinie są same anioły, tylko dziennikarze robią z nich diabłów. PZPN odsuwa od działalności sportowej Mieczysław Kulczycki z tegoż Lubina, a Zagłębie tamtejsze oświadcza, że „przez Kulczycki — to działacz całego klubu, nie tylko sekcji piłki nożnej, PZPN-owi nie do niego”. Niedługo mówiono, że szlachcic na zagrodzie równy barwodzi, ale to się później wojewódzie skończyło. Och, już ten Zulus Chaka nadszedł ze swoimi ludźmi i zaczął robić tę cholerną atakację!

W Gorzowie Wielkopolskim lekkoatleci AZS AWF Gorzów trenują w parku i w lesie, bo nie mają boiska. Natomiast miasto przekazało stadion Warty PKP. W AZS AWF Gorzów są młodzi chętni do trenowania, ale nie mają gdzie i nie ma ich kto trenować, bo na przykład trener skoczków wzywa pracuje za... 6,5 tysiąca złotych miesięcznie. Śmiać się, czy płakać? A może tylko czekać, kiedy nadejdzie Zulus Chaka?

Wspominamy czasy, gdy polscy lekkoatleci zdobywali medale na stadionach Europy i świata. To były piękne czasy, to są piękne wspomnienia. A rzeczywistość?

Sekretarz generalny PZLA — Krzysztof Piątkowski powiada, że cieszącego się niedługo powodzeniem, a dziś upadającego Memoriału im. Janusza Kusocińskiego nie można włączyć do mityngów Grand Prix. Dlaczego? Ano powodów jest sporo. 1. nie mamy odpowiedniego obiektu i PZLA nie ma pieniędzy na jego zmodernizowanie, 2. nie mamy takich możliwości, aby szybko przywieźć i odwieźć sportowców z innych krajów, bo na przykład Bydgoszcz, gdzie jest jedyny, jaki taki stadion, nie ma międzynarodowych połączeń lotniczych, a LOT nie sprzedaje w godzinie godzinie odpowiedniej ilości biletów, 3. nie mamy możliwości placenia za start w takim miłyngu po 20 tysięcy dolarów, 4. przepisy uniemożliwiają płacenie kieszonkowego w wysokości 50 dolarów, a nakazują płacić po 500 złotych, 5. nie mamy takich zawodników, z którymi asy chciałyby się zmierzyć...

Dość! Bo zaraz się rozbecze z rozpaczy.

Jedni — nie mają nic, a inni — jak choćby nasi wspaniali piłkarze — wybierają się na wycieczkę do USA. Gdzie tu jakiś sens?

Niech już wreszcie przyjdzie Zulus Chaka i zrobi tę atakację!

BOGDA MADEJ

Moja samotność nie trwała długo. Pałeczkę po Marylce przejęła chuda jak szcypa, o ptasiej twarzy, Sabinka, rodem z Nowego Sącza. Pracowała w „Halickiej” jako pomywaczka, redukcja etatów jej nie objęła.

Ona też mnie podkarmiła. Miejsce dawnej pracy odwiedzałem jako gość. Sabinka zaprawiała herbatę mlekiem, żeby nie było widać w szklance grubego pokładku cukru, a gdy opuszczałem lokal, wsuwała mi do kieszeni owinięty w gazetę schaboszczyk lub jakiś kotlet.

Z nią nie poszło mi tak gładko. Nie chciała wejść na górę, wreszcie ją namówiłem. Skutecznie odparła moje ataki, ustąpiła dopiero po kawalerskiej szarży. Też miała narzeczonego, na szczęście został w jej rodzinnym mieście.

Co robić, gdzie zarobić? Sasiadką pani Rippel była żona rabina, rudowłosa, postawna. Miała synka Szlamka, buzia jak z obrazka, piękne grajcaraki pejsów. Rabinowa szukała dla niego nauczyciela języka polskiego. Wybór padł na mnie. Chłopak był pojętny, szybko nauczył się poprawnie wysławiać, czytać, pisać, tylko nie odznaczał się taką zdolnością logicznego rozumowania jak ów słuchacz chederu, który zaskoczył swego melameda pytaniem:

— Jak to jest, rebe? W Talmudzie stoi napisane: oko za oko, ząb za ząb, to dlaczego kurwa za pieniądze?

Belferka nie pokrywała bieżących wydatków. Za radą pani Soni (rzadziej już odwiedzałem Melmana), wybieralem porę, kiedy Marylka była w pracy) zgłosiłem się do jakiegoś świetlicy i zaferowałem swe usługi w charakterze tapera. Bębnić na pianinie tanga, fokstroty i inne słow-foxy, wprawiałem w ruch złacone tańca pary. Ale świetlica obcięła budżet i trzeba się było rozzejrzeć za czymś innym.

Przypomniałem sobie, że we Lwowie przebywał Stanisław Zawadzki, działacz komunistyczny, brat Władysława Morana, partnera mojej bratowej, występował ongiś w duecie taneczny. Pan Stanisław, po wojnie nasz minister, pracował w Tramwajach. Skierował mnie na kurs motorniczych. Kilka dni spędziłem za pulpitem wagonu, a gdy miałem wyruszyć samodzielnie na miasto („czwórka”, Wały Hetmańskie), obciął mnie strach: przypomniałem sobie półtoratonówkę, rozbity kiosk i zrejterowałem z placu boju.

Trochę podreperowałem budżet rzeczami bratowej z pozostawionej u Slechterów walizki. Na „tółkucze” posprzedawałem kombinacje z szermu, biustonosze, spódniczki. Następną wizytę na bazarze przerwał niezwykle widok: jakaś grażdanica defilowała w kupionej u mnie halce, myślała, że to wyjściowa sukienka.

Imałem się jeszcze różnych dorywczych zajęć. Nigdzie nie potrafiłem zagrać miejsca. Znajomi, pozostający jak ja bez pracy, urządzili się sprytnie. Wykupowali wódkę w sklepie dawnej firmy Baczewskiego i z odpowiednim profitem odstępowali przygodnym klientom. Nie mogłem się na to zdecydować, wreszcie proceder wymagał zrywania się z łóżka o świcie. Jedno mnie tylko zastanawia: jak dzisiejsi stacze i handlarze wpadli na identyczny pomysł? Przecież nie czytali tego pamiętnika...

Włócząc się po mieście często odwiedzałem słynny pasaż Mikolascha, podglądałem życie na gościsku. Może te obserwacje przydadzą się kiedyś?

Lwowscy batiryzi przypuścili szturm na kleszenie krasnoarmiejców, usiłując im wepchnąć co się da. Zegarki, aparaty fotograficzne, koszuły. Jakis cwaniak wykupił w składzie aptecznym ebonitowe kraniki do lewatywy i z pełnym koszem rozlokował się w pasażu, obok kina „Uciecha”.

— A szto eto takowe? — zapytał zaintrygowany niezwykłym towarem żołnierz.

Batir, weszła klientka, rozkoszył się. — Pokupajcie, towariszcz, pokupajcie! Charoszaja sztuczka. Wot! — wetknął sobie kranik lewatywy do ust i przekreślił kurek. — Chocziesz, kurisz! I wot! — zakreślił z powrotem — chocziesz, nie kurisz!

Natomiast historyjki o tym, jakoby kupowano zegarki bez werka z wpuszczonymi do koperty żywym chrabąszczami, oferowano puste koperty, a wspólnik sprzedawcy stawał za reflektansem i uderzając językiem o podniebienie imitował tykanie czasomierza, zaś potencjalny nabywca mruzczał przykładając kopertę do ucha: „Charoszaje czasy, no niemożko gromkije” — należało włożyć między bajki.

Ulicami przeciągały oddziały czerwonogwardystów. Śpiewali patriotyczną, proroczą piosenkę:

Jesli zawtra wojna, jesli wrag napajdiot, jesli tiomnaja sila nagrianiet, kak odin czełowiek, wies' sowietiskij narod za swobodnuju rodinu wstaniet! Na ziemi, w niebiesach i na morie, nasz napiew i mogucz i surow, jesli zawtra wojna, jesli zawtra w pochod, bud' siwednia k pochodu gotow!

Spotkałem Władka Poja, szwagra redaktora Polaka. Gdy powstawały wydania mutacyjne „Expressu”, redaktor Oltaszewski powierzył przedstawicielstwo popołudniówki na Kraków swemu szwagrowi Broniewskiemu. Rodzina Polaka też się upomniała o swoje prawa. Ale pocziwy Poj nie był tak obrotny jak Broniewski i musiał się zadowolić nadzorem przy rozdawaniu drukarskiej oraz przy przyjmowaniu bel papieru.

Władek tułał się po Lwowie kilka tygodni. Porozmawiałem z panią Rippel, zgodziła się przyjąć pod swój dach nowego bieżenka. Zamieszkał w moim pokoju.

W nocy straszliwy fetor uderzył mi w nozdrza. Ki diabeł?

— Władek — potrząsnąłem śpiącego za ramię. — Co się stało?

— Miałem przykrą przygodę — przetał oczy. — Mróz na dworze, włożyłem dwie pary kałesonów. Położyłem się w nich spać, w nocy zachciało mi się i zapomniałem o tej drugiej parze gaci. Przepraszam...

No cóż? Jak się wysuszy, to się wykurzy. Poj niedługo popasał pod wspólnym dachem, ale nie ta przygoda była powodem jego przeprowadzki. Razem ze mną zamieszkał dwaj

moi kuzyni — Jerzy z osiemnastoletnim synem Mietkiem, brat i bratanek Stefana. Uciekli po nas z Łodzi, przebyli tę samą trasę, zasiedzieli się w Białymstoku, dopiero gdy dowiedzieli się o miejscu pobytu Stefana, przywrócili do Łwowa.

Gdybym nie wyraził zgody na to dosiedlenie, inaczej potoczyłyby się moje losy, zostałbym we Lwowie, ale z całą pewnością nie moglibyście czytać tego pamiętnika...

Od samego początku miałem z Jerzym na pieńku. Nie podobał mi się mój romans z Sabinką, bał się, że zdemoralizuje mu syna, a przecie tak się sprytnie urządzałem, że ani razu nie nakryli nas in flagranti!

Pojawili się obwieszczenia: wszyscy „bieżący” mają się stawić tu i tu w celu ponownej rejestracji. Zadawano nam zasadnicze pytanie — chcecie pozostać w Związku Radzieckim czy wrócić do Polski?

Różnie ludzie odpowiadali. Jerzy i jego syn wyrazili chęć powrotu, tęsknili do rodziny. Ja trzeźwiej oceniłem sytuację. Chociaż musiałem się zdecydować i było mi ciężko, miałem świadomość właściwego wyboru. Co mnie czekało u Niemców? O ich bestialstwach było głośno. Nie ma o czym mówić, zostaje i basta!

Mineło kilka tygodni, nadeszła upalna wiosna 1940. Skończyłem dwadzieścia siedem lat, zdrowie mi dopisywało. Dziś z przerażeniem myślę co by to było, gdybym się wtedy rozchorował!

Wieczory spędzałem często z Jerzym i Mietkiem w „Marsyience”. Po premierze wróciłem około jedenastej w nocy do domu i ułożyłem się do spoczynku. Ledwo przyłożyliśmy głowy do poduszki, rozległ się dzwonek przy drzwiach. Kogo diabli niosą? To chyba nie

— Tak.
— Ja też. I wielu innych. Niech pan się przedstawi w ich sytuacji. To musiało wzbudzić podejrzenia. Jak to? Najpierw uciekacie do nas od Niemców, a potem chcecie do nich wracać?

— Ja się zarejestrowałem na pozostanie! — przyłączyłem się do rozmowy i opowiedziałem o tym, co się wydarzyło w naszym pokoju.

— Niepotrzebnie pan się wtrącał i za dużo z nimi rozmawiał. Oni tego nie lubią...

— A może zabierają tylko tobie, co nie pracują? — wyraził swą opinię ktoś inny. — Znacicie stałnowską zasadę: kto nie robotajet, tot nie jest!

— Co pan wygaduje? — zamachał rękoma barczysty młodzian. — Pracowałem do ostatniego dnia przy obrabiarkach, na pierwszego maja dostałem premię jako stachanowiec!

W drzwiach stanął ten sam cywil.

— Tiszyna, grażdanie. Łożyties', uże pozno, zawtra budietie razgawariwat'!

Rano każdy dostał po dziewięćset gramów czarnego, komiśnego chleba. Z przywiezionego wózku kotła dymiała zupa. Niektórzy mieli manierki i łyżki, ci najpierw zostali obsłużeni, innym rozlano zupę do cynowych talerzy, było ich za mało, pożyczaliśmy sobie naczynia.

Wilgotny, nie dopieczony chleb nie smakował nam. Nietknięte „pajki” wyrzucaliśmy przez okno na dziedziniec. Po obiedzie odwiedził nas komendant, zaznajomil z obowiązującymi przepisami porządkowymi. O naszym dalszym losie nie wspomnieli ani słowem, a kiedy wychodził, zatrzymał się na chwilę w drzwiach.

— Wyrzucacie chleb, wasza sprawa. Ale pamiętajcie, przyjdzie dzień, gdy każdy kęs będzie dla was na wagę złota!

Jakże szybko miała się sprawdzić ta przepowiednia!

Co jakiś czas na dziedziniec zajeżdżały ru-

— Wróciłem z własnej woli. Nie mam już sił. Odprowadźcie mnie do celi...

Opowiedział nam o swych przeżyciach. Nikt go nie zauważył, gdy wygrzebywał się spod śmieci. Tramwajem pojechał do mieszkania, skąd go zabrano. Na jego widok gospodyni zatrzasnęła drzwi, nie pozwoliła mu nawet umyć się i zabrać reszty rzeczy. Podobnie przyjęto go w innych domach. Tułał się bezradny po mieście, szukał bratniej duszy. Pieniądzy nie miał, wybrał kilka rubli, kupił butelkę mleka i bułki. Przenocował na ławce w parku, dobrze, że nie przechodziły tamtędy patrole milicji, a rano zziębnięty, głodny, przyszedł na wartownię.

Łojalnie oświadczam, że nie spotkały go żadne represje, o ile pamiętam dostał na obiad podwójną porcję kaszy z sosem.

Po tygodniu, gdy układaliśmy się wieczorem do snu, w budynku zahuczało jak w ulu. Strażnicy rozbiegli się po wszystkich celach i ponaglił nas:

— Za pół godziny zbiórka na dziedziniec! Szybko pakować się!

Ogarnęło nas nerwowe podniecenie. Coś się dzieje, ale co?

Samochodami przetransportowano nas na dworzec kolejowy. Za dymiącą lokomotywą ciągnął się długi sznur krytych wagonów, z małymi, zakratowanymi okienkami. Dokoła szły żywego ducha. Wchodziliśmy gęśno. Oheblowane ławki, rozłożona na podłodze słoma, wiadra z wodą. Chleb na drogę dano nam przy bramie w koszarach.

Dokąd nas wiozą? To pytanie absorbowало bez reszty wszystkich. Nie gdzie, ale dokąd. Bawiliśmy się w wróżbitów. Sybir, Kamczatka, Biegun... Znaleźli się domorośli astrologowie, chcieli zorientować się w kierunku jazdy po konstelacjach gwiazdnych.

Pociąg nabierał szybkości. Mijaliśmy pograżone we śnie wioski, tereny, na których nie rosły nawet pojedyncze drzewa. Za okienkami rozpościerała się głucha, ciemna noc.

Po kilku godzinach pociąg stanął. To tu? Otworzyły się drzwi wagonu. Strażnik wsunął głowę.

— Dziesięć minut postoju. Kto ma potrzebę, może wyjść, tylko pamiętajcie, bez żadnych sztuczek! — i jakby mimo woli położył rękę na kaburze pistoletu.

Wzdłuż wagonów, po obu stronach, karnie stanął kordon milicjantów i żołnierzy. Dokładnie po dziesięciu minutach maszynista dał sygnał, zatrzaśnięto drzwi, koła wagonów potoczyły się po szynach.

Było już dobrze po południu, gdy nasza podróż dobiegła końca. Z ciekawością rozglądaliśmy się dokoła. Może jakaś tablica z nazwą miejscowości? Może jakiś ludzie, od których można będzie zasięgnąć informacji? Nic z tego. Wyszadno nas w pustkowi, gdzie diabeł mówi „dobranoc”. Jak okiem sięgnąć — pola i mającący na horyzoncie las...

Pomazzerowaliśmy czwórkami. Z przodu, po bokach i z tyłu nasi opiekunowie. Za zakratowanymi wylotami się baraki. Wpuszczono nas do sroka, po kilkunastu minutach przyniesiono wiadra ze zbożową kawą.

— Obmyjcie się z kurzu i przygotujcie na wizytę lekarza.

— Co mamy zrobić?

— Nie byliście jeszcze nigdy u lekarza? Rozzeczcie się.

— Do pasa?

— Calkiem. Do naga!

Pierwszy raz w życiu widziałem taką rewiew golasów. Wśród młodych, dobrze zbudowanych mężczyzn, przewijali się sylwetki ludzi starszych, o zwiotczonych mięśniach, z nabrzmiałymi na rękach i nogach żyłami.

Otworzyły się drzwi. Wszedł doktor w spódnicy. Była to, jak się później dowiedziałem, felczerka. Młoda, zgrabna, z burzliwym biustem, z falą ciemnych, niesfornych loków, opadających na pyszny kark.

I stała się rzecz straszna, przerażająca. Jej widok podziałał na mnie jak uderzenie pioruna. Mistrz Sztaudynger biadolił w swej fraszce, że patrząc na apetyczną dziewczynę nie mieści się w portkach. A ja nawet tych nieszczęśliwych portek nie miałem na sobie!

Felczerka obszcypywała defilujących przed nią, jakby to były manekiny i obojętnym tonem wydawała polecenia towarzyszącemu jej mężczyźnie:

— Ten do brigady pięćdziesięcioprocentowej. Ten dwadzieścia pięć procent. Na co się uskarżacie? Aha, pięćdziesiąt procent...

Płonąc ze wstydu, pod drzwiami spojrzeliśmy towarzyszy, cofaliśmy się krok za krokiem przed zbliżającą się dziewczyną, obrócony do niej tyłem. Aż przyszedł moment, gdy już dalej nie mogłem iść; oparłem się, no nie zupełnie o ścianę. Ściągał mnie jej dyspozycje: — Pięćdziesiąt, sto, dwadzieścia pięć, siedemdziesiąt pięć...

A tu nic, bez zmian. Za swymi plecami usłyszałem zniecierpliwiony głos:

— A nu-ka, otwierניות' w konce koncow! Popatrzyla na mnie od dołu do góry, z czułą na srodoku mej cielesnej powioki, przygryzła wargi.

— Zdorowiennyj pareń! Pisiztie — zwróciła się do towarzyszącego jej lapiducha — spropocentnaja brigada!

I tak oto zostałem po dwakroć pograżony: raz za swój niepokromiony, długi język, i dwa za... no właśnie.

Fragment przygotowywanego do druku pamiętnika „Raz, dwa, wzięli” z pobytu autora w Związku Radzieckim w latach wojny. Za tydzień:

Raz, dwa, wzięli!

Co mnie pograżyło?

Marylka, zawsze pukała, zresztą na pewno śpi w najlepsze u boku swego męża, w którym odkryła tak nieograniczone możliwości...

Zaden z nas nie ruszył się z miejsca. Otworzyła zaspana córka gospodyni. Do pokoju weszło dwóch enkawudystów w towarzyszywie milicjanta. Starszy rangą stanął przy łóżku Jerzego.

— Przedstawcie swoi dokumenty!

Kuzyn podał mu dowód osobisty.

— Sobirajtes' s wieszczami! (zabierajcie się z rzeczami).

Jerzy spoglądał na półprzytomnym wzrokiem, a ów starszy rangą potrząsnął za ramię drżącego Mietka.

— A wy kto?

— Syn...

— Toże sobirajtes' s wieszczami!

Jerzy wszedł do gospodyni, wrócił z dwoma workami, do których przy pomocy Mietka położył upychać ich dobytek. Moje łóżko stało przy oknie. Z przyzwyczajenia leżałem z wtuloną pod kocem głową. Chyba nie wiedzieli, że jeszcze ktoś jest w pokoju. Zrobiło mi się głupio. Nie można przecież być niemyim świadkiem takich wydarzeń! Wychyliłem się spod koca.

— A w czym dieło, towariszcz? Po kakomu powodu ich uodwidite?

Obróciłem się w moją stronę.

— Nie wmiieszwyajtes'!

— Jak mam się nie wtrącać, kiedy zabieracie moich kuzynów!

Poszeptali ze sobą i ten starszy zapytał:

— A kak wasza familija?

Wymieniłem swe nazwisko.

— Togda sabirajtes' wniestie! Poskoriejel! Pani Rippel przyniosła trzech worków. Klnąc na czym świat stoi, wyciągnąłem z szafy swoje rzeczy. Nie podejmowałem już prób dalszej konwersacji. Jaki jest powód ich wizyty? Nie poczuwałem się do niczego, Jerzy i Mietek też z pewnością byli czysci.

Po upływie kilku minut, żegnani pełnymi współczucia spojrzzeniami pani Rippel i jej córki, z workami na plecach, wyszliśmy na ulicę. Przed domem stała ciężarówka, półtoratonowy ZIS. Przysiągłbym, że to ten, którym próbowałem swych umiejętności szoferskich. Tylko wewnątrz stały ławki, wtedy ich nie było. Obsiedli je sami mężczyźni, podobnie jak my, nie zamawiali żadnego transportu. Były jeszcze wolne miejsca, ale gdy zajęchalśmy pod dalsze dwa adresy, samochód wypełnił się i z kompletem pasażerów pomknął uspijonymi ulicami miasta.

ZIS zatrzymał się przed budynkami dawnych koszar wojskowych przy ul. Piotra i Pawła. Sprawnie rozlokowano nas na dwupoziomowych przeczach. Pachniały świeżym drewnem. Chyba je zbito tuż przed naszym przybyciem. Na podłodze wałaly się jeszcze wióry.

Pomieszczania rozległych koszar roily się od narodu, ludzi wciąż przybywało, samochód za samochodem zajeżdżał na dziedziniec.

— Poka lożytes', otdychajtie zawtra w szes' czasow utra polucietie zawtrak — zaanonsował cywil z koszarowej służby.

Mimo późnej pory, nikt nie myślał o śnie. Snuiliśmy głośno różne domysły.

— Lwów to wojewódzkie miasto, nie każdy może się tu zameldować na stały pobyt. Co innego ci, co mieszkają od lat. Na pewno przewiozą nas do mniejszego miasta...

— To nie to — pokręcił głową starszy mężczyzna, z wyglądu inteligent. — Według mnie to całkiem inna sprawa. Zarejestrował się pan na powrót do Polski? — zwrócił się do tamtego.